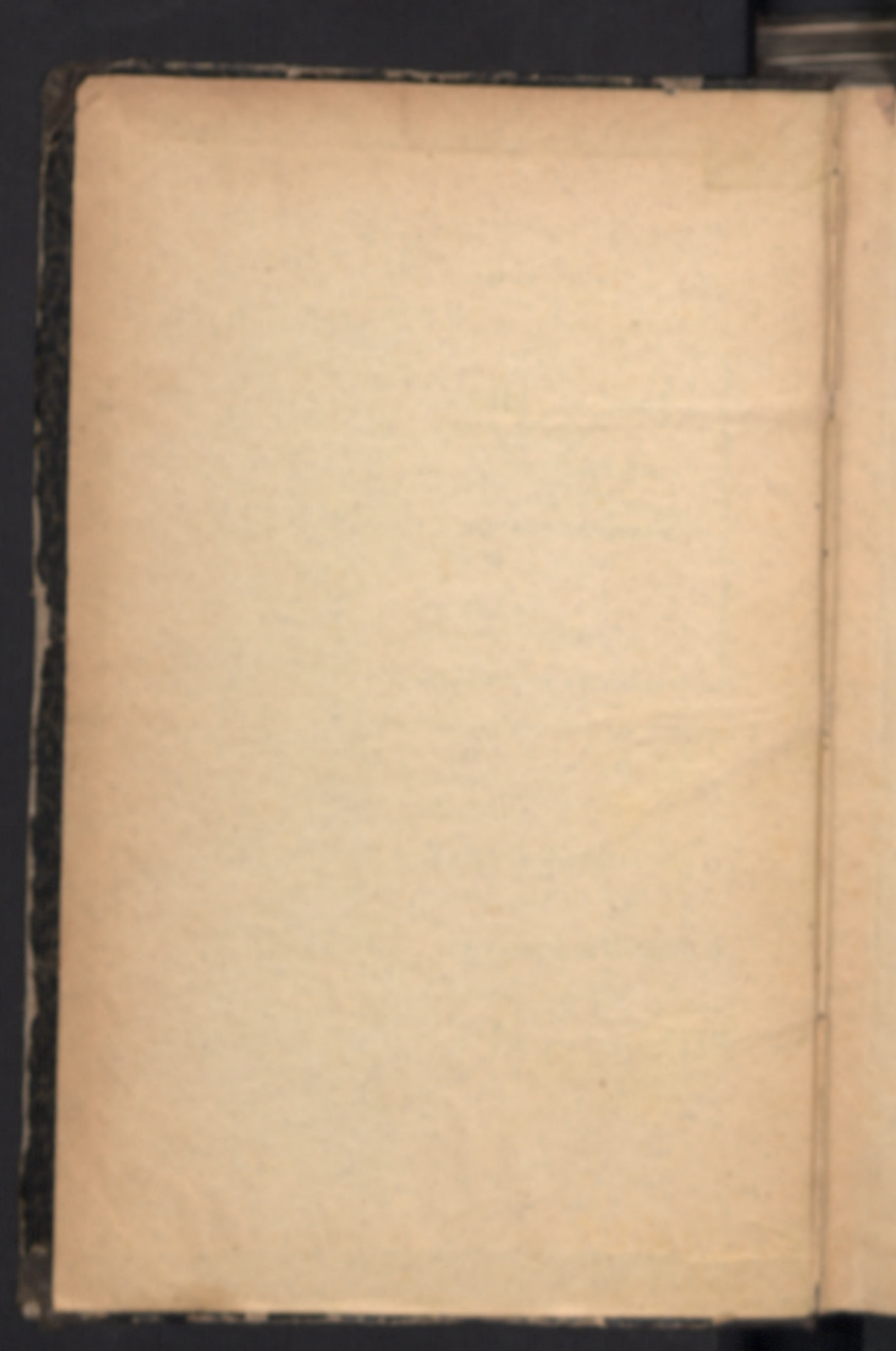


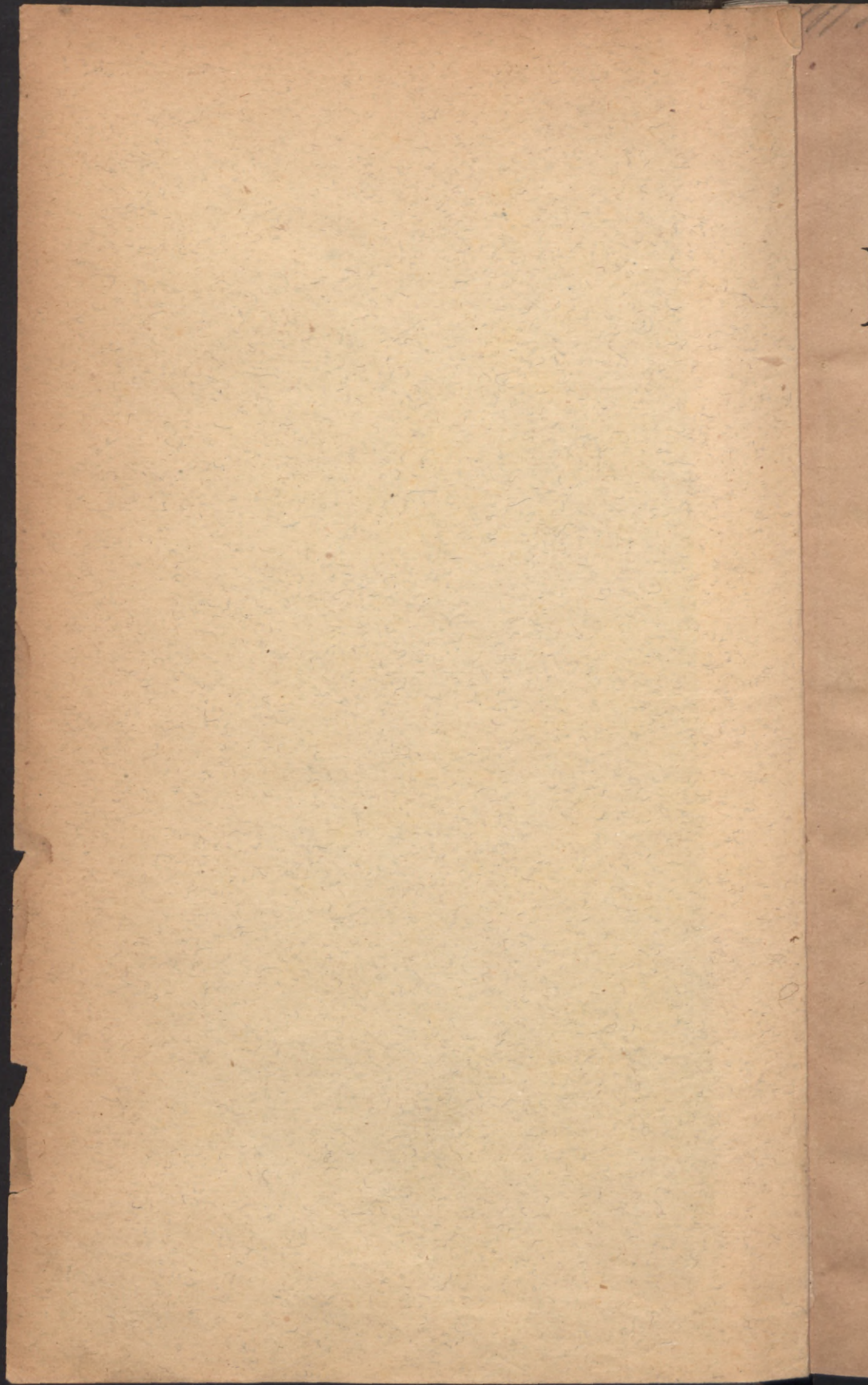
BIBLIOTEKA UNIERSYTECKA

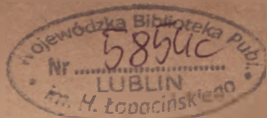
KUL

7877
v-866
4



V. 166





PRZEGLĄD LWOWSKI.

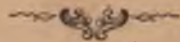
Pismo dwutygodniowe
poświęcone sprawom
religijnym, naukowym, literackim i politycznym.

ROK PIERWSZY.

1. Lipca 1871.

Poszyt trzynasty.

(Fide ac veritate.)



Spis rzeczy:

- | | |
|--|---|
| <ol style="list-style-type: none">1. Cyprian Damirski — jego prace i pozostały manuskrypt. Przez X. Sadoka Baręcza.2. Zarysy o sztuce chrześcijańskiej. Szkoła Siennejska. (Dokończenie).3. Piotrowe lata Piusa IX. Przez Z. Ludwika hr. Dębickiego.4. Karta wspomnień Berlicza Sasa. (C. d.)5. Czy Jezuici zgubili Polskę?6. Korespondencye Przeglądu.
Z Rzymu.7. Dwutygodnik krakowski p. J. G.8. Jubileusz Ojca św. w Ziemiach Polakich. | <ol style="list-style-type: none">9. Kronika. Przez X. E. P.<ol style="list-style-type: none">I. Illuminacya we Lwowie. — Gazeta Narodowa i Dziennik Polski.II. Przegląd pism katolickich: Czas, Unia — Tygodnik katolicki — Chata.III. Pan Stanisław Kozmian (krakowski).IV. Piccolino krytykiem.V. Najznakomitszy Pan Kraszewski — i wiersz Cypryana Norwida.VI. Śmierć profesora Gilewskiego.VII. La petite commune litteraire.10. Świętopietrze. |
|--|---|

L W Ó W.

NAKŁADEM REDAKCYI.

Z DRUKARNI KAROLA BUDWEISEBA.

1871.

Od Redakcyi.

W PRZYSZŁYM NUMERZE ZAMIEŚCIMY POMIĘDZY INNEMI:

1. Nieszczęśliwi (z rosyjskiego).
2. O Bazyljanach w Humaniu.
3. Z czasów komuny paryskiej.
4. Listy o wychowaniu domowem przez śp. Sawruka.

Miło nam przy tej sposobności uwiadomić czytelników naszych, że w piśmie naszym będziemy w możności, stałą utworzyć rubrykę przeglądu dzieł historycznych — przeglądu bibliograficzno-krytycznego pism i dzieł polskich, będących w obiegu — specjalny przegląd literatury rosyjskiej.

Niebawem rozpoczniemy zamieszczać uczoną i ważną wielce, historyczną pracę pana Maurycego hr. Dzieduszyckiego p. t. „Historya Synodów w Polsce” i szereg obrazków z przeszłości naszej i ze społeczeństwa rosyjskiego. Przez Berlicza Sasa.

W imię tedy Boże rozpoczęliśmy IIgie półrocze wydawnictwa naszego pisma. Z poszytem niniejszym zaczyna się tom II. Przy końcu roku przesłemy czytelnikom naszym spis rzeczy, errata i okładkę. — Wydawnictwo Przeł. Lwowsk. dokładać będzie wszelkich starań, aby go postawić na stanowisku, jakie w katolickim kraju zajmować powinien. — Zaprowadzimy kilka nowych rubryk, między innemi: Przegląd literatury rosyjskiej — przegląd literatury włoskiej i francuskiej — wreszcie sztuki piękne obszerniej będziemy traktowali. — O pierwszej pisać będzie były profesor na jednym z uniwersytetów rosyjskich; o literaturze włoskiej i sztukach jeden z najcelniejszych w literaturze naszej pisarz.

Czytelnicy nasi raczą zawczasu zgłaszać się z prenumeratą, abyśmy mogli wiedzieć, w ilu egzemplarzach mamy odłaczać pismo nasze. — Nadmieniamy przytem, że poszyt I i II zupełnie wyczerpany, odbijemy je, ale w takim tylko razie, jeżeli liczba przybywających prenumeratorów będzie mogła pokryć kosztą przedruku. — O nadesłanie nam zaległości z poprzedzających kwartałów uprzejmie upraszamy.

CYPRYAN DAMIRSKI.

Cięzka to droga, którą Bóg prowadzi do życia zakonnego. Nie jeden przebył tę ciernistą kolej; lecz nie każdy trafił do zamierzonego celu; gdyż opuścić powaby świata, pożegnać na zawsze rodzinne progi, zaprzecić się samego siebie, aby się poświęcić dla dobra ludzkości, zawsze to wielkie zadanie, którego spełnienie zależy od wyższych pojęć i dobrej woli. Karty dziejów ojczystych głoszą nam z uwielbieniem imiona tych mężów, którzy głęboką nauką i ostrością żywota jaśniejając, spłonęli na ołtarzu poświęceń, w celu rozniecenia światła w narodzie, któremu przewodniczyli.

Kształcili oni niewinną dziatwę, karmili opuszczone sieroty, pielęgowali na łożu boleści schorzałego łazarza, a nad mogiłą zmarłych braci pieśń żałoby nucili. Na kazalnicy, trybunie wdzięczne ich głosy broniły prawdy i sprawiedliwości, w podziemnych ciemnicach pocieszały nieszczęśliwych, powstrzymywały przewrotność i kruszyły upór zatwardziałego grzesznika. A kiedy trąba wojenna do boju zabrzmiała, młodszy opuszczali te pobożne siedliska, z krzyżem w rękę błogosławili zbrojnym zastępom, dzielali trudy obozowe, opatrywali rannych, jednali z Bogiem umierających na polu bitwy, poległych grzebali, a pozostałych do nowej zagrzewali walki. Starsi zaś, w pokorze, Ojcu miłosierdzia polecali losy tej ziemi, która ich żywiła, a w chwilach wolnych od modlitwy, spisywali zaszłe wypadki i czyny ludzi dla wiadomości, przestrogi lub nauki następnym pokoleń.

Do tej liczby wybranych, należy niezawodnie Cyprian Damirski. Atoli jak przyjsie jego na świat, tak również i początkowe pobieranie nauk nieznanem jest zupełnie; tyle tylko wiadomo, że mając lat dwadzieścia, dnia 26 września 1636 r. wstąpił do zakonu OO. Bernardynów, gdzie pod przewodnictwem O. Bonifacego Czachowskiego, prowincyała, wielkiego przestrzegacza reguły zakonnej, kształcił się na wzorowego i światłego kapłana. Stanąwszy u przystani

swych gorących pragnień, nauki mozolnie nabytej nie ukrywał przed światem, lecz udzielał jej tak po szkołach zakonnych, jako też z ambon różnych kościołów, za co też tytułem lektora teologii św. i kaznodziei jeneralnego ozdobiony został. A gdy przy rozgłosie niczem nieskalanej prawości jego przekonano się, że na jego zdaniu zupełnie polegać można, obwołano go defunitorem, czyli ojcem mającym przeważny wpływ na kapitule zakonnej.

Przyłgnał on też do błogich wspomnień, jakie żywot błogosławionego Jana z Dukli w świeżej zachowywał pamięci ludu chrześcijańskiego, a szczególnie miasta Lwowa wyswobodzonego cudowną jego obroną od napaści Chmielnickiego połączonego z dziecą tatarską. To też bracia zakonni znając tę jego do błogosławionego Jana pobożność, mianowali go w r. 1666 prokuratorem kanonizacyi tego przedziwnego, całego miasta i Królestwa Polskiego patrona. Wybór ten atoli, lubo padł na godną osobę, jednak trafił na złe czasy, kiedy nieszczęśliwa ojczyzna ciągłemi najazdami wrogów do tego stopnia była wycieńczoną, iż w przeciągu roku jednego zaledwie sto złotych polskich na ten cel mógł zbierać. Nie zrażając się jednak tem niepowodzeniem, krzątał się ile mu sił starczyło około rozszerzenia chwały sługi Bożego, którego uwielbiając, starał się też naśladować. Nadto sprawił wielkie nabożeństwo w obecności króla Michała Wiśniowieckiego i żony jego Eleonory, tudzież znacznego grona senatorów i urzędników koronnych. Kazał na tem nabożeństwie ks. Mikołaj Popławski, poznański i warszawski kanonik, której to mowie nazwę „Palmy“ nadał*). Z powodu tej uroczystości zrobił też Bartłomiej Zimorowicz, radca miejski, krótkie opisanie klasztoru lwowskiego OO. Bernardynów pod tytułem: „*Domus virtutis et honoris*“, a niezmordowany poeta Stanisław Józef Bieżanowski ułożył wiersze łacińskie na cześć zakonów świętego Franciszka serafickiego pod napisem: „*Lampades seraphicae*“.

Prace tych znakomitych mężów zebrał w jedną całość O Cypryan Damiński, a dodawszy jeszcze żywot wraz z cudami błogosł. Jana z Dukli przez siebie według pierwotworu Jana Komorowskiego

*) Ksiądz Popławski w swoim kazaniu „Palma“ powiada, że to nabożeństwo odprawiło się *die 23 Octobris A. D. 1672*. Nabożeństwo być mogło, lecz króla w tym roku nikt nie widział we Lwowie. Kronikarze lwowscy: Tomasz Józefowicz str. 301 i 329, Zubrzycki str. 419 i 432 powiadają, że król Michał był we Lwowie w roku 1671 i po raz drugi w r. 1673, ale mocno już słaby, gdzie też i żywota dokonał. Więc nabożeństwo rzeczzone odprawiło się zapewne w r. 1671. Zatem przez omyłkę drukarską położono r. 1672.

skreślony, razem wydał we Lwowie 1672 r. pod tytułem: „*Thaumaturgus Russiae*“. W tym żywocie zachwycający przytacza ustęp nauki błogosł. Jana, danej gdy jeszcze był w Poznaniu, pewnemu zakonnikowi, który przeszedłszy z życia pustelniczego, tęsknił sobie w zakonie. Zdrowy pogląd na stosunki towarzyskie, wysokie daje wyobrażenie o dokładnem pojęciu obowiązków człowieka przez błog. Jana powziętem i wykonywanem. „Bóg darów swoich“, powiada on, „nie udzielił jednemu człowiekowi w całej zupełności, jeno rozdał je częściowo między ludzi, aby jedni dając i odbierając od drugich, tem samem się uzupełniali; żeby związek miłości wzrastał i wzmacniał się ciągle, aby jeden drugiemu służył ku pożytkowi. W pustyni zaś, dwie te niedogodności nasuwają się, że tego, na czem nam zbywa, od drugich otrzymać nie możemy; a powtóre: że tego, w czem sami obfitujemy, drugim udzielić nie możemy; a zatem haniebnie zagrzebujemy talent nam od Boga ku wysłudze bliźniemu powierzony. Nareszcie jakim sposobem ćwiczyć się można w pokorze, gdy niema wyższego od nas? jak okażem uczucie miłości, gdy obok nas niema nikogo? kiedyż damy dowody cierpliwości, gdy się nikt woli naszej nie sprzeciwia? Słowem, czy to w utarczce ze złemi skłonnościami, czy też w osiągnięciu wyższej doskonałości, dziwnie nas wspomaga dobra rada, lub wskazówka zakonnych braci Dobrze czynić, nie broni ci zakon; gdybyś chciał zbrodnię popełnić, nie wolno ci w zakonie.“

Poświęciwszy tedy drogiej pamięci błog. Jana z Dukli wieniec z pracy w literaturze polskiej dobrze zasłużonych mężów uwity, znalazł się O. Cypryan Damirski w r. 1675 na kapitule w Sokalu, gdzie życzliwość braci zakonnej złożyła urząd prowincyałski na barki jego. Jako prowincyał jeździł do Rzymu na kapitulę jenerałą, na której przeprowadziwszy szczęśliwie wybór O. Ximenesa Samaniego na jenerała zakonu, wracał do ojczyzny. Na samej granicy Austrii dnia 5 czerwca 1676 roku śmierć go zaskoczyła, gdzie też został pochowany. Żałośni bracia z utraty ojca, w którym nadzieję i ufność swą pokładali, otworzyli jego ubożuchną celę, w której małą skrzyneczkę mieszczącą w sobie rękopism składający się z piętnastu arkuszków znaleźli. Oto była cała spuścizna po dobrym zakonniku! Na pierwszy rzut oka nikczemna wprawdzie, ale rozpatrzywszy się w niej dokładnie, mimowolnie poczuwamy się do wdzięczności, że w tych kilku arkuszach, zawarł dla nas nieocenione skarby z ubiegłej, a niewyjaśnionej jeszcze należycie przeszłości.

Rzeczony rękopism po łacinie pisany pod tytułem: „*Fundatio*

Fratrum Minorum de Observantia in partibus Poloniarum“, poczyna się od roku 1452, a kończy się na roku 1651. Z początku aż do r. 1594 unieszcza poczet imienny rządów zakonnych z małemi bardzo dodatkami. Dopiero od r. 1594 następują co raz to większe wiadomości przeplatane pamiątkami zakonu opowiadające nam zwłaszcza o napadach bezbożnego Chmielnickiego. Lubo autor okazuje talent pisarski, jednak całe to dzieło, raczej materiałem niżeli wykończoną historią nazwaćby można. Toż samo przyznaje O. Kapistran Jurkiewicz, sekretarz prowincyała Wałłowicza, który zebrał te urywki w jedną całość, że nieboszczyk gromadząc skrzętnie bardzo różne wiadomości, zamyślał z nich według wzoru roczników Baroniusza napisać kronikę zakonną, lecz niestety! śmierć przedwczesna temu przeszkodziła. Aby poznać i sposób pisania autora i wartość tego niewykończonego pamiętnika, podaję ustępy z r. 1647 w tłumaczeniu polskiem.

„W tym samym roku pisał terażniejszy król do cesarza tureckiego, żaląc się na Tatarów, którzy dzielnice powszechnie Budziakami zwane, przeciwko ugodzie pokojowej zwykli zamieszkiwać, ażeby z tej pobliskości łatwiejsze mogli czynić wycieczki, któremi posiadłości polskie mieczem i ogniem niszczą, jak to co roku czynią, prosząc oraz, żeby ich powstrzymał, ukarał, z tych dzielnic usunął i do Tauryki wydalil. Równie też przeciwko samemu hanowi Mechmet Gieriejowi, który zebrawszy tłumy wojska swego, mimo zawartej ugody przed trzema laty, zapuścił do ziemi polskiej nieprzyjacielskie zagony; iż gdyby dzielność wojska polskiego przy samej granicy tym bezbożnym zamachom nie była sprzeciwiła się, ziemie polskie byłyby ostatecznych rzeczy od srogięgo wroga doświadczyły. Prócz tego żądał, żeby cesarz turecki rozkazał Tatarom, aby wynagrodzili szkody, które przez pięć lat ciągle wyrządzali, w ten sposób: iżby jeńcy nasi, którzy albo w Taurydze są zatrzymani, albo zaprzędani w państwie tureckiem srogą niewolę ponoszą, byli uwolnieni; dowodząc, że ta święta sprowiedliwość utwierdzi sojusze nasze, ustali spokój publiczny tylu kłeskami i wylewem krwi obu narodów nabyty. Co się zaś tyczy upominków, o które cesarz turecki dla Tatarów domagał się, odpowiedział król: że oni i królestwo jego równe będąc wszystkim książętom i narodom, jednakowej powagi i wolności używa, ani też komu z ludzi śmiertelnych podlegać może. Jeżeli zaś Tatarzy upominków od nas żądają, te dają się im według zwyczaju nie dla tego, żeby się od łupieztwa siedzib naszych wstrzymywali, ale żeby nam zawsze słu-

żyli, jeżeli ich zbrojnej pomocy kiedykolwiek zażądamy. Tak ojcowie nasi postanowili, tym sposobem zaprzysięgli nam wiarę Tatarzy i zaciężnemi pułkami swemi wojska nasze posiłkować przyobiecali. Gdy przeciwnie, zamiast tej pomocy, sami wojnę przeciwko nam wzniecając, jawnej nieprzyjaźni dają nam dowody; niechże każdy bezstronnie osądzi! czy się co Tatarom od nas należy? czy nie powinniśmy te same kłęski im zadawać, jakie od nich królestwo nasze codziennie prawie ponosi. Niech się wstrzymają od najazdów i straszego spustoszenia ziemi naszej Tatarzy! niech wynagrodzą nam szkody, niech uwolnią jeńców naszych, niech spieszą nam ku pomocy na żądanie nasze! a wtedy słusznie wynagrodzenia trudów podjętych żądać i takowych od łaski naszej spodziewać się mogą. Wiele jeszcze innych rzeczy tem pismem osiągnąć chciano; lecz głuchemu powieść prawiono, jak to rok następujący odsłoni.“

„Bonawentura Radawiecki herbu Bończa, prowincyi ruskiej definitor aktualny, mąż sędziwy, przykładem, miłością braterską i innymi cnotami zakonem jaśniejący, umarł w Rzeszowie i tamże odpoczywa. Maciej Chodecusz, definitor prowincyi ruskiej, roztropny, pobożny, przykładny obserwant i w tej prowincyi dobrze zasłużony. Ten gdy był z kapituły krakowskiej w r. 1634 wyznaczony na gwardyana do Sokala, sprawił tamże do kościoła ładne drzwi z łukiem, na którym umieścił Chrystusa ukrzyżowanego. Po jednej zaś i drugiej stronie tychże drzwi zbudował dwa ołtarze wyobrażające rzeźbą, prześliczną mękę Zbawiciela Pana. Wystawił i trzeci ołtarz, Maryi Magdaleny. Rozprzestrzenił kaplicę, w której zostaje cudowny wizerunek Matki Najświętszej. Wybudował oratorium i cały kościół obrazami przyozdobił. Nakoniec, wieżę na cmentarzu pomieszkawiami zaopatrzywszy, umarł. Jakób Uchański herbu Radwan, ruskiej prowincyi definitor aktualny i spowiednik Władysława IV, króla polskiego. Obrany na kapitule lwowskiej roku 1637 gwardyanem leżajskim, klasztor murować zaczął. Dwie części dokonał, trzeciej dokończyć śmierć mu nie dozwoliła. Cztery ołtarze w kościele wystawił: św. Michała, Jacka, Józefa i Zofii. Sprawił droższe ornaty własnym kosztem. Umarł w Jarosławiu, mając lat 60, w dzień św. Tomasza Apostoła, spoczywa w Leżajsku. Michał Wydryński, obserwant pobożny. Paweł braciszek, kowal, który od dzieciństwa prawie w klasztorze lwowskim całe życie swoje przepędził. Skromny trapiel ciała swego, milczeniu i pracy ciągle oddany. Nikt nie słyszał, żeby się kiedy od porannych ćwiczeń duchownych był usunął, zawsze był najpobożniejszy. Co tylko klasztor lwowski

posiada żelaznego, wszystko to ręce jego ukuły. Pokorny, ubogi i posłuszny, w r. 1647 dnia pewnego przyszedłszy po wysłuchanej mszy świętej do swej celi, położył się skromnie i zasnął w Panu.“

Rękopism ten znajduje się w trzech egzemplarzach: jeden mają Bernardyni lwowscy, drugi biblioteka Ossolińskich, a trzeci jest w mojem posiadaniu. Gdy zaś obecnie pracuję nad pamiętnikami OO. Bernardynów w Polsce, zamyślam i ten rękopism, jeżeli się to panu Bogu podobać będzie, drukiem ogłosić, aby te szacowne zabytki od zniszczenia ochronić.

Góra Różańcowa 1870 r.

Ks. SĄDOK BARĄCZ.

ZARYSY O SZTUCE CHRZEŚCIJAŃSKIEJ.

III.

Szkoła Siennejska.

(Dokończenie.)

W oczach Ghibertego posiadał Ambrogio inny jeszcze rodzaj zasługi t. j. ten, że w szkole i ojczyźnie swojej był pierwszym, który umiał ocenić piękność sztuki starożytnej.

Wszystkie jednak dzieła Ambrogia (z wyjątkiem publicznych, które jak wyżej wspomniałem pod szczególną pieczęą rzeczypospolitej nienaruszone się przechowały), wykonane dla rozmaitych kościołów i klasztorów, stały się ofiarą nowożytnego barbarzyństwa. Wiemy jednak z podania i archiwów przechowanych, że między innymi wymalował n. p. w Siennie salę kapitułną klasztoru Augustyanów. Kościół św. Małgorzaty Cortońskiej napełnił różnymi freskami pędzla swego, przedstawiającymi rozmaite epizody z życia św. Franciszka Assisi. W Florencyi, gdzie go powoływano bardzo często, oprócz legendy o św. Mikołaju, którą odmalował na murze kaplicy św. Proculusa, ozdobił salę kapitułną innego klasztoru Augustyanów płodami pędzla swego.

Wszystkie te utwory historyczne, mistyczne i legendowe znikły z dziedziny sztuki, nie pozostawiając śladu po sobie.

W pracach dopiero swoich dla pałacu publicznego w Siennie, rozwinął Ambrogio cały bogaty zasób wyobraźni i geniuszu swego. Począwszy od r. 1330 miał sobie polecone odmalować na głównej fasadzie pałacu kilka epizodów z rzymskiej historii; Siennejczycy

bowiem, chlubiący się pochodzeniem swoim od narodu rzymskiego, postawili sobie byli za zadanie pamięć tę uwiecznić w dziełach sztuki. Żaden artysta nie mógł posiadać w wyższym stopniu, tak pod względem talentu twórczego jak znajomości politycznej, wszystkich warunków, jakich wymagało wykonanie podobnego dzieła.

W r. 1337, gdy chodziło o wymalowanie sali, w której zwierchność miejska odbywała swoje posiedzenia — wybór padł na niego, pomimo że Simone de Martino stał wówczas u szczytu swej sławy. Z dzieła tego, nad którego wykonaniem bez ustanku trzy lata pracował, zostały dwie freski, w jednej z nich zamierzał artysta przedstawić porównanie miasta ze wsią. Wrażenie, jakie sprawia ten obraz, zostaje jednak przyćmione zupełnie widokiem drugiego utworu patriotycznego i symbolicznego zarazem, w którym artysta jakby postawił sobie za zadanie usprawiedliwić sąd, który mu przyznawał pierwszeństwo nad rywalem jego Simonem di Martino. Wzniosłość stylu, delikatność rysunku, skrupulatność w wykonaniu najmniejszych szczegółów, różnorodność typów, intensywność uczucia, doskonałość kolorytu, jednym słowem, wszystkie przymioty, które połączone razem stanowią pierwszorzędne dzieło sztuki, znajdujemy zlane tu w jedną wyniosłą, imponującą całość. Po nad wzniosłą postacią sprawiedliwości unosi się Mądrość boża, która jej natchnienia udziela. Wzrok jej czysty i łagodny, zwrócony ku niebu, wskazuje jasno źródło jej natchnienia. Pod temi dwiema postaciami siedzi bogini pokoju, która jako symbol w prawem ręku dzierży jakiś instrument muzyczny, na którym przygrywa, podczas gdy lewą ręką trzyma nić, która z jednej strony połączoną jest z wagami sprawiedliwości, z drugiej zaś dotyka starca uwieńczonego koroną, w którym uosobioną ma być zwierchność miasta.

Ambrogio wzniosł się jako malarz symboliczny do tej wysokości, na której nie stanął żaden artysta florencki.

Mniej szczęśliwym był w utworach czysto religijnych, jak o tem przekonuje obraz przechowany w akademii sztuk pięknych w Florencji, malowany przez niego w r. 1342 dla kaplicy jednego ze szpitali siennejskich. Widocznie artysta ten, tak idealny w pierwszych swoich utworach, zanadto dał się unieść kierunkowi naturalistycznemu szkoły florenckiej, poświęcając wdzięk sile wyrażenia, zapomniał widocznie utrzymać równowagę między jednym a drugim, którą w sposób tak mistrzowski zachować umiał w freskach swoich, wymalowanych dla klasztoru Franciszkanów albo w sali nazwanej della Pace.

Te same uwagi dadzą się zastosować i do obrazu Zwiastowania, znajdującego się obecnie w akademii sztuk pięknych w Siennie, który wymalował w r. 1344 dla pałacu publicznego.

Mimo tych usterek, któreśmy wykazali, smutek jakiś owłada nas mimowoli, rozstając się z tym ostatnim przedstawicielem wielkiej szkoły siennejskiej, w chwili, gdy zaraza w r. 1348 zawiąła nad Sienną jak anioł zniszczenia i śmierci i na czas długi rozwiązała wszystkie zakłady, z wyjątkiem tych, których celem były uczynki miłosierdzia i miłości chrześcijańskiej...

Ale nie tylko ta, były i inne ważniejsze jeszcze okoliczności, które sprowadziły w końcu upadek szkoły siennejskiej. Były to wypadki polityczne. Smutna i krwawa karta w dziejach Rzeczypospolitej siennejskiej otwiera się przed nami. Rzeczpospolita wewnętrznie niepokojami targana, szarpana przez nieprzyjaciół zewnętrznych, którzy zazdroszcząc jej tyloletniego kwitnącego stanu, nie omieszkali użyć chwili jej osłabienia, aby ją zniszczyć i zhańbić wojnami rozbójniczymi, — przedstawia widok opłakany bezsilności, anarchii i krwawych wojen domowych. W r. 1368 rząd dziewięciu wypędzono, ogromną ilość arystokracji posłano na wygnanie. Partya demokratyczna, związana w konfederację „Białego Lwa“, objęła rządy — ale wkrótce musiała takowe ustąpić i oddać w ręce krwawej szajki demagogów, dla których obce życie, obce uczucie, religia, sztuka, były niczem. Na czele tej bandy stał niejaki Domenico, jeden z okrutniejszych potworów, jakich ziemia wydała kiedy. Ta zgraja złoczyńców przydała sobie tytuł reformatorów państwa! Reakcyja wybuchła przeciw nim w r. 1384, skończyła się niestety zwycięstwem rozpasanej tłuszczy i srozsze jeszcze nieszczęścia sprowadziła na biedny ten kraj. Rozterki te skończyły się niszczącą wojną prowadzoną przeciw Florencyi i haniebnym pokojem podpisanym w r. 1404.

Ciekawym szczegółem w dziejach szkoły siennejskiej jest, że wszyscy prawie artyści, występujący w drugiej połowie XIV w., odgrywali rolę w zaburzeniach rewolucyjnych, ojczyznę niszczących ich. W ten sposób powstała szkoła tak zwanych artystów demagogicznych. Dzieła, które tworzyli, były to po największej części utwory okolicznościowe, schlebiające namiętnościom tłumów, mające na celu łącznie pozyskanie sobie oklasków tłuszczy, w istocie bez żadnej prawie wartości artystycznej, deptające śmiało wszystkie prawidła sztuki, wszystkie wniosły tradycje wielkich mistrzów tej szkoły. Najpopularniejszym z tych artystów-demagogów był Galgano.

Pod takim wpływem, w takich rękach, łatwo odgadnąć można, co się stało z owemi dotąd tak czystymi tradycjami szkoły siennejskiej. Ów wdzięk i majestat, charakteryzujący jej typy, ustąpił miejsca dzikiemu bezceństwu, gminnej popolitości, której wpływ nawet w obrazach religijnych Lucca Tomme i Biagio di Goro! malarzy demagogicznych tego okresu, czuć się daje.

Pomiędzy tym tłumem artystów republikańskich, którzy w bardzo nierówny sposób zapal swój i życie swoje podzielali między sztukę i wolność, znajdował się jeden, którego chętnie wyjmujemy z pod ogólnego sądu, wyrażonego o towarzyszach jego. Był nim Andrzej Vanni, jeden z najgorętszych republikańców, ambasador rzeczypospolitej siennejskiej we Florencyi i w Rzymie. Jest-to jedyny artysta tej szkoły demokratycznej, którego imię przetrwało w pamięci ziomków jego. Najglówniejszym tworem jego był portret św. Katarzyny, który sam jeden byłby już dostatecznym, aby go uczynić popularnym. W swych obrazach religijnych szedł za wpływem Simona di Martino, a dzieła te, pomimo zupełnego prawie braku siły i plastyczności, zasługują jednak na to, aby być wyjętymi z pomiędzy reszty popolitych malowideł tego okresu.

Jak już wyżej wspomnieliśmy, w czasie zaburzeń politycznych Sienny, między innymi, wielu artystów było zmuszonych opuścić ojczyznę i udać się na wygnanie, z kąd mało który z nich powrócił. Jeżeli pospieszymy za nimi na to dobrowolne wygnanie i przejrzymy ich dzieła, o ileż wyższymi znajdziemy ich od tych artystów republikańskich, którzy pędzel swój poświęcili kapryswi i namiętnościom tłumów!

Jednym z tych wygnańców był Berna, który rozpoczynawszy olbrzymie dzieło, później godnie przez ucznia jego Giovanni Asciano ukończone, w r. 1380 w San-Gimignano życia dokonał. Niezliczone obrazy jego, porozrzucone po rozmaitych kościołach i klasztorach tokańskich, zaginęły prawie wszystkie, a wielkie freski jego w San-Gimignano nie uszły również wandalizmowi nowożytnych czasów. Najlepsze i najlepiej zachowane dzieła jego znajdują się w kościele kolegialnym w Asciano, w ojczyźnie ukochanego ucznia jego. W jednym z nich, przedstawiającym Narodzenie Bogarodzicy, widać wpływ zupełnie obcy szkole siennejskiej i florenckiej, wpływ, który później i w całej pełni swojej objawił się w utworach szkoły ombryjskiej.

Różnica między artystami republikańskimi a tymi, którzy się z dala od wszelkich zaburzeń rewolucyjnych trzymali, daleko wy-

bitniej jeszcze występuje z historii jednej grupy artystów, noszących imię Bartolo, chociaż nie wszyscy należeli do tej samej familii a nawet do tej samej szkoły.

Pominąwszy Bartola di Fredi i Andrzeja di Bartolo, artyści, który prawdziwie wślawił nazwisko Bartolów, był Tadeusz Bartolo. Mąż ten obok szlachetnej niezawisłości charakteru, natchnienia swoje czerpał u najczystszej, najwznioślejszej źródła. W skutek długoletniego oddalenia od kraju, obcymi otoczony wpływami, nie mógł Tadeusz Bartolo pozostać tak wiernym czystym tradycjom szkoły siennejskiej, jak poprzednicy jego. Przedewszystkiem w utworach jego objawia się wpływ szkoły florenckiej i wpływ Andrzeja Orcagna, z którym łączy go pewne pokrewieństwo duchowe. Temu to wpływowi niezaprzeczenie należy przypisać, że Tadeusz Bartolo przedstawivszy „Pieńo“ Danta w pięknej fresce poświęconej klasztorowi Monte Oliveto, umyślił później przedmiot ten traktować raz jeszcze, dołączając doń utwor, przedstawiający „Niebo“ Danta, przechowany w głównej katedrze w San-Gimignano. Najgłówniejszem i największem z dzieł jego, które szczęśliwie zdołało ujęć zagłady przed barbarzyństwem czasu i ludzi, jest obraz świętego Krzysztofa, trzymającego w rękach Boskie Dzieciątko. Jest-to prawdziwe arcydzieło tego artysty, przewyższające wszystkie pozostałe po nim dzieła, nie wyjmując wielkiego obrazu Wniebowzięcia Matki Boskiej w kościele Monte pulcinus.

Szkoła siennejska, tak bogata w XIV stuleciu, w pierwszej połowie XV wieku upadała coraz bardziej. Pomimo że i w tym okresie posiadała artystów godnych starożytnej jej sławy, ale ci długoletniem wygnaniem oddaleni od jej tradycyi, nie zdołali już niestety na nowo do jej łańcucha, świeżych dołączyć ogniw.

Uwaga ta da się zastosować również do utworów Dominika di Bartolo, jednego z najpierwszych malarzy tego okresu. W czasie pobytu jego w Peruzie, widok obrazów Fra Angelico, wywarł na umyśle artysty wpływ, który się objawia we wszystkich jego utworach. Najgłówniejszy z nich, znajdujący się w Siennie, składa się z pięciu olbrzymich fresk, przedstawiających rozmaite akta miłości chrześcijańskiej. Jedynym spadkobiercą i zarazem uczniem Dominika Bartolo, uznanym przez niego samego w testamencie, a o ile z jednego dzieła, które po sobie zostawił, sądzić można, prawdziwie godnym takiego mistrza, był Gregorio di Cuzzo. Jedynem dziełem jego, był obraz Bogarodzicy, przechowany w zakrystyi ka-

tedry siennejskiej. Obraz ten, to niby ostatni promień zachodzącego słońca, piękny, jasny — ale ostatni... Gregorio jest ostatnim malarzem szkoły siennejskiej ze starożytnymi jej tradycjami, ostatnim reprezentantem tych tradycji.

Szereg artystów siennejskich tego okresu, wypada mi zakończyć jednym z największych rzeźbiarzy, jakiego nie Sienna tylko, ale całe Włochy wydały, który był poprzednikiem a nawet pod wielu względami mistrzem Michała Anioła, godnym rywalem Ghibertego i Donatella. Artystą tym był Giacomo della Quercia. W młodym jeszcze wieku musiał opuścić ojczyznę w skutek wygnania protektora swego Orlando Malavolti. Cały czas wygnania swego przepędził w miastach: Florencyi, Luce, Ferarze i Bononii, gdzie liczne płody dłuta swego zostawił, gdzie rywalizował z Ghibertim, Donatellim i Brunalleschim.

Gdy w kilka lat później wrócił do ojczyzny, poruczono mu wykonanie rzeźb na Fontegaïi i chrzcielnicy katedry, któremi wzbudził podziw i uwielbienie wszystkich. A jednak największe dzieło jego, jakie wykonał, nie rodzinnemu miastu, ale Bononii poświęcone było. Chodziło o dokończenie fasady wpół-gotyckiego kościoła San-Petronio, i artysta zobowiązał się część tę wprowadzić w harmonię z całością budowy. W celu przysposobienia potrzebnych do tego materiałów, musiał odbywać podróże do Werony, Wenecyi i Karrary, a od czasu do czasu przesiadywać w Siennie, aby dokończyć rozpoczęte tam prace.

Co się tyczy pojmowania i sposobu przedstawienia przedmiotów biblijnych, można powiedzieć, że podobnie jak Ghiberti w tej mierze był poprzednikiem Rafaela, tak Giacomo della Quercia poprzednikiem Michała Anioła. Szczególnie podobieństwo tych ostatnich sięga do tego stopnia, że obejmuje nawet koleje życia i wypadki, jakie obaj przechodzili.

Giacomo miał przyozdobić bramę środkową katedry bonońskiej płaskorzeźbami, do których przedmiot zapożyczonym być miał w bardzo nierównej mierze z dziejów Starego i Nowego Testamentu.

Nigdy żaden rzeźbiarz z takim mistrzostwem nie pojął i nie wykonał pierwszych rozdziałów Genezy. Widok tego dzieła natchnął Michała Anioła do podobnych kreacyi. Stworzenie Adama i Ewy, upadek i wypędzenie ich z raju, uważać można za arcydzieła jedyne w swoim rodzaju.

Słynną ową fontannę Fontegaïa, którą był jeszcze w r. 1412 rozpoczął, dokończył dopiero w r. 1419. Nigdy Siennejczy nie

widzieli tyle wdzięku i życia tyle, w zimnym marmurze. Podziwiano szczególnie dwie płaskorzeźby, przedstawiające stworzenie Adama i wypędzenie pierwszych rodziców z raju.

Liczne prace, jakie miał sobie polecone w innych miastach a których wykonanie wiele zabierało mu czasu, napęłniły zazdrością ziomek jego, zazdrością, która nieraz w prześladowanie przechodziła. Biedny artysta wiele ztąd miał do cierpienia. Siennejczycy aby go przywiązać do siebie, obsypywali go zaszczytami, które dla naszego artysty były prawdziwemi więzami.

Boleśnie uskarża się na dołę swoją artysta w listach pisanych do rozmaitych przyjaciół. On, który wiecznie tylko bujał w sferach boskiego ideału, nie mógł znieść żadnych więzów ziemskich. Zazdrośni obywatele obciążali go nowemi ciągle pracami i postępowaniem okrutnem nieraz starali się wymódcz na nim, aby kończył rozpoczęte dzieła. Artysta upadał pod brzemieniem i natłokiem obowiązków.

Pewną jest rzeczą, że jeżeli który artysta sztukę swoją niósł jak krzyż lub koronę cierniową — to był nim Giacomo della Quercia. Dla Michała Anioła sztuka była również krzyżem cierpienia, ale z drugiej strony pociechy, jakich doznawał, nie dozwalały mu upaść pod tem brzemieniem. Giacomo, uwikłany w sieciach bezlitośnej opieki, musiał walczyć z przeciwnościami, gorszemi nieraz od największego nieszczęścia

• LATA PIOTRÓWE PIUSA IX.

Sursum corda! Któż z wiernych nie wykrzyknie dzisiaj głosem, w którym się zlewają w jeden akord uczucia boleści i uwielbienia, trwogi i nadziei, przerażenia i tryumfu, zgrozy i miłości; zgoła to wszystko co w chrześcijańskim sercu pomieścić się zdoła na widok najstraszniejszych zbrodni ludzi i najbardziej uwidocznego rządu Opatrzności.

Sursum corda! kto dziś okrom katolików zawołać zdoła, kto do nadziei nastroi ducha strzaskanego gromami, co świat w zgłiszczu i ruiny zmieniają — kto, w godzinie zniszczenia i hańby dziejowej zdoła z pełnej piersi *Te Deum* wznieść w górę? Zwycięzcy na rękojeściach oręża wsparci, co wytoczyli krwi morza dla zaboru kawałka ziemi? Bałwochwalcy siły, gwałciciele prawa? Nie. —

Przy tryumfalnych obchodach nowego Cezara ze spuszczeniemi będą oni stąpać głowami. Pod ich nogami grunt już podminowany. I chociaż uleją ze zdobytych dział pomnik chwały ořeża, to nietrwal-szy od tego, który powaliła ręka burzycieli w stolicy zwyciężonych. Psalmy żałobne i Jeremiaszowe pienia śpiewać przychodzi tym, co wszystko oparli na ludzkim rozumie. Budowali wieżę Babel nowo-żytnego postępu, liberalizmu, i wszystko naraz się zwało, jak wszelkie dzieła mądrości obchodzące się bez Boga; postępu, z po-minięciem praw boskich; liberalizmu, gdzie wolność złego hasać tylko zwykła. Jedni tylko czciciele szatana, wyznawcy wywrotu, zbrodni, synowie zagłady — wołają na widok zniszczenia i upadku: „*Sursum corda!* Nadchodzi chwila naszego panowania, dopomogli nam mocarze świata, bogacze w zbytkach i używaniu rozpasani, uczeni, dumą porwani do zaprzeczenia Boga, do ujarznienia wiary; w proch też obrócim ich potęgę; gdzie ślad jakiegokolwiek władzy i zwierchności, tam zostawimy zgliszcza; gdzie pomniki ich cywilizacyi, zdobycze ich wiedzy i sztuki nagromadzone, tam będąc pustyńnią, bogactwa ich roztrwonimy — zniszczymy własność, oni od-dzielali patriotyzm od wiary, my zagładzimy wszelkie ślady naro-dowości; oni o wolności marzyli, my im tyraństwo gminu niesiemy i krwią zalejemy świat.“

Tak wrzeszczy lub szepcze ta czarna banda zatracieli, na której skinienie krocie z bojaźni Boga wuzutego proletaryatu w wszyst-kich krajach Europy gotowe.

Sursum corda! wołamy i my katolicy z głębi zbołałej duszy, ale zupełnie z innego powodu. Wyroki Opatrzności widome, złe rozszalało się i zapanowało światem, ale Bóg wyratuje ludzkość, dzieje męczeństwa rozpoczęły się na nowo dla Kościoła i wierzą-cych — Kościół męczeństwem uratuje zdobycze historii, jak je nie-gdyś wskrzesił. Wśród nowożytnego potopu jest arka, co się wznie-sie nad zalanym wodami światem i przechowa wszystko dla odro-dzenia historii. W pośród zapasów niedołącznej reakcyi, którą się ratować będą usiłowały państwa — i ohydnej tyranii rewolucyjnej, Kościół uciemiężony przechowa ideę wolności; w tej arce wiary zamknie się narodowość od zagłady kosmopolityzmu rewolucyj-nego; w niej złożone ziarna prawdziwej chrześcijańskiej oświaty. Burzyciele porządku świata i zaprzeczyciele Boga, rozwieleni w dziełach zniszczenia, tryumfują dzisiaj na widok pożaru Paryża; my, z boleścią zwracając wzrok do grobu Apostołów, do ujarzmio-nej i zbezczeszczonej Stolicy chrześcijaństwa, wołamy: „w górę serca“

bo po raz pierwszy danem jest Namiestnikowi Chrystusa dożyć lat Piotrowych.

My katolicy śpiewamy w dzień ten uroczysty *Te Deum*, oni wielbić mogą ducha zagłady i tak dwa chóry tylko, jeden na cześć Boga, drugi na cześć szatana, wznoszą się w tej czarnej godzinie w pośród świata, który strącony ze szczytu wielkości, oniemiał z przerażenia, odrętwiały odsuwa się od chóru na cześć szatana a nie ma jeszcze dość łaski, aby się przyłączyć do chóru, co wielbi wszechmocność Bożą i w Kościele jednoczy się przeciwko potęgom zniszczenia.

My tylko i oni świadomi celu; oni zagłady chrześcijaństwa i wszystkiego co z chrześcijaństwa wzięło początek — my odrodzenia chrześcijańskiego życia w narodach i odbudowania tego, co się wali, gdy podstawa wzruszona. Oni gotowi na wszelkie zbrodnie, katolicy gotowi na wszelkie męczeństwo; pewni, że jak przed wiekami po upadku Romy, chrześcijaństwo odrodziło świat — tak znów po Attilach rewolucyi, odrodzenie chrześcijaństwa będzie odrodzeniem świata i narodów. W pośród tych dwóch obrazów stoją mocarze bez siły, uczeni bez świadomości tego co przyszłość podniesie, bogacze mienia niepewni, bankruci postępu, który okazał dokąd wiedzie, liberały wczorajsze, którzy jutro wzorem cara reakcyę krwawą zaprowadzać będą — wszyscy bezwiedni i bezbronni patrzą na szerzącą się pożogę w osłupieniu, niepewni jutra, zwątpiali w siebie i w to co wyznawali, bez żadnego węzła, bez żadnej podstawy, rozbici, niemający hasła, ani wodza.

* * *

Facta loquuntur! Nigdy wymowniej, wypadki, świadectwa prawdziwie nie składały, nigdy wyraźniej palec Boży na kartach historii nie kreślił dróg Opatrzności; nigdy sromotniej nie upokorzył dumnych a podniósł cichych i pokornego serca.

Nie trzeba być mistykiem, aby te ślady palca Bożego krwią narodów naznaczone odczytać i z nich złożyć jedyną prawdę do praktycznego w polityce użytku, jedyną wskazówkę ratunku, i znaleźć w nich jedyną broń odsieczną. Nie oczami wiary, ale ogólną dziś wiarę znachodzącą formułką matematyczną sprawdzić można to, co wczoraj było jeszcze przez świat, jeżeli nie z nienawiścią i wstrętem odtrącone, to za chorobliwość, przesadę podawane, a co głosił Kościół przez usta swego Namiestnika. Paralela między sylabusem z r. 1864, a wielkimi zasadami 1789, lub z tych zasad wysnuwającymi się dalszemi teoryjami, dopiero w 1871 roku może

być z pożytkiem prawdy przeprowadzoną. Powołujemy się tu na ów akt Stolicy św. na syllabus, który służył za pozorną przyczynę zawziętości przeciwko Kościołowi, bo przewrotne przez rewolucjonistów tłumaczenie praw w nim zawartych, odstręczyć mogło nie tylko ludzi nieświadomych rzeczy, ale i dobrej woli, a nawet wierzących odwieść od zespolenia z Kościołem w obronie prawa wolności i sprawiedliwości. Akt ten wyprzedzający bieg wypadków jest dla dzisiejszej chwili niewątpliwym programem katolików w sferze politycznej i moralnej. Wypluwający z ducha nauki Kościoła w negatywnej swojej formie wyraża on mianowicie różnice, jakie między zasadami Kościoła a teoryami wieku zachodzą. Gdy go dziś położymy obok tych teorii wieku, obok rewolucyjnych praw człowieka, nieuniknionym następstwem do 1793 lub komuny wiodących, a wyda on się nam inaczej niż wtenczas, gdy się pojawił i raził ucho przywykłe do brzmiących a pustych słów.

Większa część orzeczeń syllabusa zwróconą była przeciwko bałwochwalstwu siły, przeciwko materyalizmowi w polityce, przeciwko zaprzeczeniu prawa i moralności, przeciwko napoleońskiemu dogmatowi politycznemu „faktu dokonanego“, przeciwko Bismarkowskiemu „siła przed prawem“, przeciwko europejskiej dziś powszechnej zasadzie „nieinterwencji“...

Trzeba było wielkiego zaślepienia namiętności, aby wszyscy pokrzywdzeni, co padli ofiarą siły, nie uznali w tym akcie jedynej zbawczej dla siebie drogi, odsieczy duchowej, przybywającej im od najwyższej świata moralnej powagi... aby krzywdziciele z krzywdzonymi, ofiarnicy z ofiarami, czciciele siły z obrońcami własnego prawa połączyli się w odepchnięciu zasad i wskazówek, które dopiero po przepełnieniu miary nieprawości znajdują może uznanie.

Żadne społeczeństwo, ani żadne państwo nie przejęło się zasadami, moralność w życiu dziejowem mającemi przywrócić. Wszyscy ulegli bałwochwalstwu siły, wszyscy odepchnęli i wyparli się moralności w polityce i potężni i bezsilni, i ci co na zbrodniach wzrosli i ci co padli ofiarą moralności dziejowej swoich ojców.

Jeżeli w zmateryalizowanej cywilizacji szukano jakiegoś idealizmu, to go czerpano z mętnej wody rewolucyjnej, to dalej snuto przętlę z rewolucyjnych praw człowieka, których rozwinięciem był zarówno demokratyczny imperyalizm francuzki, jak na wespół nihilistyczny carat rossyjski, austriacki bezwyznaniowy konstytucjonalizm, na konspiracyjach wzrosła jedność włoska i niemiecki z pan-teizmu filozoficznego wynikły aglomerat pruski. Wszyscy bili czołem

przed Ewangelią 89 roku — wszyscy uznawali katechizm praw, a nie obowiązków człowieka.

Kiedy i gdzie wolności przeczył Kościół. On całą swoją etykę na wolnej woli oparł. On, co wyzwolił kobietę, zniósł niewolnictwo, wypiastrował w historii pojęcie wolności? Któż pierwszy na ziemię przyniósł słowo równości, jeżeli nie Bóg-człowiek, — gdzie braterstwo jeżeli nie w chrześcijańskim pojęciu bliźniego?

Ale wolność, równość i braterstwo, te prawdy chrześcijańskie w tym szyku rewolucyjnym przemieniają swoją naturę. Bóg stworzył człowieka do wolności, bo mu dał wolną wolę, bo nie skępował jego ducha żadnym przymusem instynktu, jakiemu mimowolnie ulegają zwierzęta. Bóg stworzył ludzi równymi choć różnymi; Bóg braterstwa nadał podstawę, ale te zasady nie mogą być wyższe od tego zakonu, który był ich źródłem. To też jeżeli sylabus zaprzeczył dogmatyczności rewolucyjnych haseł, jak potępił teorię o pogodzeniu Kościoła z liberalizmem, postępem i cywilizacją, to wskazał tylko, że te dążenia zostały skrzywione.

Wolność, równość i braterstwo, które z biegiem czasu i umoralnieniem świata do coraz większego dochodzić winny uznania, jako jedyne zasady, nie wystarczą; zasada, prawo, leży w czem innym; to moralność, to przykaz, to obowiązek, który stawia granice naszej wolności, aby nie przeszła w samowolę, który równość z równością jedna i równość w różności, braterstwo w stopniowaniu, w hierarchii rozwija i zaprowadza.

Już inne pióro znakomitego pisarza wykazało, że rowolucyjny katechizm 89 r. wyrodzić musiał pokolenie — zdziżałe komuny; gdybyśmy się nad tym przedmiotem chcieli rozszerzać, moglibyśmy tylko słabą parafrazę tych głębokich uwag „o przyczynach upadku Francji“ podać.

Wskazemy jeszcze tylko sprzeczność, jaka w owych wielkich zasadach 89 r. zachodzi. Wolność obok równości absolutnie postawione, są absolutnym bezsenssem, bo są sprzecznością. Wolność tam niemożliwa, gdzie przechodząca naturę ludzką, sprzeczna przyrodzonemu porządkowi świata — równość postawiona jako najwyższy cel Równości w stosunkach ziemskich, doczesnych, przeprowadzić wbrew naturze nie zdoła, jeno ta jedyna potęga, co z nadprzyrodzonego porządku, z wiary wykwita — miłość. To też cytoyen rewolucyjny jest tylko nędzną karykaturą bliźniego.

Obok pojęcia równości w obec Boga stanęło pojęcie równości w obec prawa. Ależ prawo jest etycznej natury, bo z idei spr-

wiedliwości wynikłe, a to w pojęciu tylko Boga może mieć źródło i wiare. Tam, gdzie pojęcie Boga zniszczone, tam sprawiedliwość nie ma żadnej podstawy i wszelkie prawo rychło się obala. Równość przeto wprowadzona do prawa, wymaga większego jeszcze upodobnienia zakonu świeckiego, cywilnego, z zakonem bożym, z religią, z chrześcijaństwem.

Lecz tu podobno ostateczny kres dążeń równości, dalej posunięte, stają się gwałtem przyrodzonego porządku rzeczy, gwałtem przeciw naturze ludzkiej i społecznej, a zwłaszcza przeciwieństwem wolności.

Toteż nie było epoki, w którejby bardziej było zatracone pojęcie wolności, jak w naszej stawiającej równość na szczyt dążeń. Cały kontyngent europejski przechodził ustawicznie z pod bata despotyzmu pod jarzmo rewolucyi. Rządy i rewolucye ciągle w myśl zasad 89 r. gwałtem przeprowadzały niwelację społeczeństwa, burzyły instytucye, ograniczały wolność indywidualnego rozwoju. Aż po tej pochyłości, wolność przerodziła się w zgniły i fałszywy liberalizm lub w bachanalie rewolucyjnej samowoli i wyuzdania, a równość stała się hasłem zagłady.

Świat już widzi te owoce idei rewolucyjnej i gotów się znów w drugą przetrząść ostateczność, aby się ratować od jej następstw. Katolicy jak z rewolucją i socjalizmem, tak z despotyzmem i zaborczością nic nie mają wspólnego; jak nie uznają hasła rewolucyjnych, tak i reakcją brutalną wiązać się nie będą.

Nasz program jest inny — niezbyt dawno przez Piusa IX streszczony w syllabusie, a odwiecznie nadany w przykazaniach Bożych, utwierdzony w nowym Zakonie, w ciągu wieków zawsze działaniem i wpływem Kościoła zaznaczony. Nasz program — to nie rewolucya lub reakcya, ta lub tamta forma społeczeństwa, to lub inne dążenie, ale moralność chrześcijańska w życiu narodów i społeczeństw.

* * *

W oderwanych myślach, które beładnie w tak uroczystej chwili tłoczą się pod pióro, nie mamy zamiaru streszczać tego, co obchód dzisiejszy ćwierćwiekowego pontyfikatu Piusa IX nasunąć może. Przed kilką laty poświęciliśmy szerszą pracę wielkiemu w dziejach nie tylko Kościoła ale świata panowaniu Piusa IX*).

*) Kilka rysów z żywota i pontyfikatu Piusa IX.

Odtąd ileż przybyło materyału przyszłym biografom tej wielkiej i szczytnej Kościoła i dziejów postaci, która przerasta wszystkie wielkości współczesne, bo sama jedna wśród pokoleń skarłowaciałych istotnej wielkości nosi znamiona, postaci promieniejącej blaskiem świętości i geniuszu zlewającego się w jedną aureolę. Na jakżeż ponurem tle rysuje nam się ta pełna blasku postać, ileż wielkości rozprysło się w obec niej, zostawiając po sobie tylko bezcześć własną i ruiny z gmachów przez siebie stawianych.

Ćwierć wieku ubiegłe nie będzie zaiste nosić w historii miana epoki Napoleona III, Bismarka, lub którego z mocarzy, nie będzie się zwać epoką postępu, fajerwerkowem tylko błyskającego światłem, lecz jeżeli historia sądzić dobę tę straszną będzie podług zasad, dwa w niej naznaczy prądy: prąd rozszalałej i fanatycznej negacyi Boga, do ruiny cywilizacyę a narody do dzikości wiodący, i prąd przygotowującego się odrodzenia świata przez zjednoczenie wiernych. Epoka, która u wstępu wydaje rewolucyę 1848, a zamyka się komuną paryżką, ta epoka przedstawia jedną tylko walkę, walkę której nie można nazwać socyalną, bo ona głębiej sięga, walkę o podstawy moralne świata, o prawdy dane przez Boga a przechowane w Kościele, z których się wysnuły wszystkie nabytki chrześcijańskiej cywilizacyi.

Nigdy jeszcze wrogie żywioły idei chrześcijaństwa do takiej potęgi i zjednoczenia nie doszły jak dzisiaj, nigdy straszniej moralny porządek świata nie był zagrożony; ale od wieków także zastępy wiernych nie miały potężniejszego przewodnictwa, jak go mają katolicy w osobie Piusa IX; nigdy bardziej wypadki nie uwidoczniły, czem dla porządku świata jest wiara, jak wszystko z nią związane i na niej wsparte — i gdy ona pogneębioną, wszystko się wali. Od jej wzmocnienia ratunek cywilizacyi i materyalnych nawet nabytków zawisł.

Więc znów w historii zostaną tylko naprzeciw siebie stojące dwa obozy: tych co przecząc Boga, zagładę świata niosą — i co przechowując wiarę, ludzkość od zagłady chronią.

Piotrowe lata przeżyć danem było Piusowi IX, bo Piotrowe posłannictwo mu zwierzone. Naukę Chrystusa stopniowo i częściowo od wieków kilku zaprzeczaną, w ostatnich czasach systematycznie tępiącą, gneębioną, z instytucyj politycznych i społecznych wypartą, przez cywilizacyę i postęp odepchniętą, przez mocarzy

ograniczaną, w sumieniu ludu zagłuszaną, na nowo w chrześcijaństwie postawić, na nowo wdrożyć w dzieje, na nowo męczeństwem i prześladowaniem okupywać jej uznanie — oto posłannictwo Piusa IX i Kościoła pod jego przewodem.

Wszystko, co trzymało świat w pewnych karchach, runęło w gruzy. Centralizacja nowożytnych państw stopniowo zniszczyła organiczny ustrój społeczeństwa, mieszczący w sobie rękojmie własnej konserwacji. Mit Saturna pożerającego własne dzieci, jakby się wcielił w dzieje ostatnich paru wieków. Państwo strawiło w sobie i zniszczyło samorodny ustrój społeczeństw; w miejsce naturalnych instytucyj w ciągu wieków wyrobionych postawiło swoje martwe organa. Żądza wszechwładzy zagarnęła pod swój zarząd to wszystko, co stało i rządziło się samodzielnie. Tam gdzie był duch samorządu, gdzie była federacja, hierarchia, gmina, cechy, korporacje, tam nic nie pozostało, tylko biurokracja, policja i armia. Taka była kolej państwowego liberalizmu.

Idea państwa, która wszystko miała zastąpić, ulegała równocześnie podkopaniu, sama zresztą dokonywując swego samobójstwa. W miejsce policji stanęły podziemne kluby rewolucyjne, armie wojsk zastąpią niedługo armie „Internationale’a”. Łatwiej zepsuć i spaćzyć mechanizm, niż zadać śmierć organicznemu życiu; łatwiej rozbić państwo, gdy społeczność już podkopaną.

W tak przeobrażonym państwie jeszcze miejscami zachował pewną potęgę moralną majestat monarchizmu, ale i ten podkopany a często pokalany powstrzymać gwałtów nie miał siły. W tak przeistoczonym społeczeństwie idea narodowości była ostatnią potęgą i łącznią. Zabory i podboje wzmacniały miejscami to uczucie w łonie narodów gnębionych, kosmopolityzmem materyalizmu i kosmopolityzmem rewolucji niszczone. Odkąd dzieła gwałtów i bezprawia przeprowadzano pod hasłem narodowości, odtąd to hasło straciło swoją pierwotną potęgę i swoją niepokalaność. Unifikacja Włoch i Niemiec, aneksje i zabory w imię tak zwanej zasady narodowości przeprowadzane, dają pochop duchowi negacji i zaprzeczeń do podsuwania w miejsce uczucia narodowego idei szczepowości. Jeżeli patriotyzm we Francji tak nisko upadł skutkiem materyalizmu, to nam od pokus materyalizmu poniekąd przez samą naszą biedę wolnym strzedz się należy, aby zaraza szczepowości, idei polskiej w jakieś dążenia nihilistyczno-szczepowe nie przeobraziła. Niebrak nam już apostołów tego nowego kierunku, który chce rzucić ofiarę do

stóp mordercy, choćby tylko dla tego, że on nie tylko narodowość ale zarazem i przedewszystkiem wiarę tępi¹⁾).

Z kierunków duchowych świata cóż pozostało, coby mogło jednoczyć umysły i wskazywać drogi? Filozofia, samodzielna i z wszelkich ograniczeń się wyzwalająca praca umysłu, do czego doprowadziła, oto, że sama zabiła siebie. Gdzież mędracy, gdzież mistrze co niebu chcieli wykraść tajemnicę, gdzież wy uczniowie Kantów i Hegłów — niema was w chwili niebezpieczeństwa grożącego całej cywilizacji; przygotowaliście tylko pole tym, co się z was najgrawają. Świat nauki staje się areną do popisów dla tych, co zwierzęcość człowieka za dogmat stawiają. Materyalizm i rozwiózłość obyczajowa, zgasiła szlachetny ogień poezji, sztuki, wszystkiego co zmysły odrywało od ziemi i wiodło do ideału. Literatura pod trzema formami, powieści, dziennikarstwa i popularnych książek, jużto wrzekomo naukowej, już też ekonomicznej treści, rozszerza z małym wyjątkiem propagandę idei wywrotu, kazi serca, podnieca namiętności, obniża polot umysłu i ducha; nic zaś dodatniego, nic nie wydaje, coby na wieki pozostało. Cóż jeszcze było potęgą ziemską tego świata? — Praca i kapitał, bogactwo i postęp, własność i produkcja, zgoła samże materyalny rozwój, na którym tak wiele opierano — jaka w tym zakresie równowaga, jaka zgoda między pracą a kapitałem, dość wskazać na dwumiesięczny eksperyment falansteru komuny i na miliony sprzysiężonych robotników pod kierunkiem Internationala.

Oto są zdobycze XIX stulecia, rezultaty moralne wielkich zasad 89 r., mających uszczęśliwienie przynieść ludzkości.

* * *

Nie, ohyda z jaką upadek wieku^{*} się dokonał, jest zanadto odrażającą, abyśmy ją tutaj wykazywać potrzebowali.

Lecz w inną stronę zwrócić nam dziś ducha należy, tam, zkad wyszło odrodzenie przed kilkunastoma wiekami, zkad i dziś jedyny promień przyszłości w tę czarną noc dziejów pada.

Rzym jak za Piotra św. tak za Piusa IX jest jedyną opoką, na której nie tylko Kościół wsparty, ale która stanowi jedyną podstawę, na jakiej wesprzeć bezpiecznie można gmach społeczeństwa

¹⁾ Apostolstwo tego rodzaju na wrogim Kościołowi gruncie, w sławetnej galicyjskiej stolicy, najpierw się objawiło — krzewiła je ongi jeła owa nędzota najkompletniejsza *Dziennik Lwowski*, — po jego upadku brudna propaganda znalazła gorliwych swoich apostołów w gronie pisarzy redagujących dziennik *Kraj*.

chrześcijańskiego. Po za nim jest tylko stopniowanie ducha przeczenia, są tylko różne szczeble wiodące do przepaści, zagłady, zgnilizny, zdziczenia — Jakóbową drabiną postępu w górę dla społeczeństw i cywilizacji chrześcijańskiej tutaj jedynie wsparta.

Zapytałyby się przychodziło, czy chrześcijaństwo tak ze szczętem jest zatarte, że potrzeba na nowo rozpocząć dzieło, które kosztowało Kościół trzy wieki męczeństwa i prześladowania, że po dziewiętnastu stuleciach chrystyanizmu świat powrócił do gorszego stanu pogaństwa, niż pierwotnie i nic nie zostało z tego życia w Ewangelii czerpanego. Nie, przez dziewiętnaście wieków dokonywało się dzieło rozszerzenia nauki Chrystusa dla ludzi, dla indywidualuów, cywilizacja nią przesiąkała, ustrój społeczny nie jeden promień tej boskiej nauki w siebie wcielił — lecz nigdy Ewangelia nie zapanowała w historii, nigdy prawdy Kościoła nie rozszerzyły się na zbiorowość, jako taką. Dziś bardziej niż kiedy, chrześcijaństwo jest tylko ograniczone do jednostek wierzących, dziś w chwili ruin i upadków nadchodzi moralna konieczność schrystyjanizowania społeczeństw, zwycięstwa Ewangelii i Kościoła w dziejach.

Ztąd-to powstała ta walka zawzięta i powszechna instytucyj świeckich, państwa przeciw Kościołowi; ztąd nagły upadek tych instytucyj tracących podwalinę moralną.

Tę drugą epokę schrystyjanizowania dziejów, społeczeństw, zbiorowego życia, rozpoczyna Pius IX. Może ona będzie kosztować wiele ofiar, wiele prześladowań i nowych męczenników wywoła — ale to pewna, że zwyciężyć musi, albo świat runie i wzorem nadsekańskiej stolicy zagrzebie swoją wielkość, chwałę, pomniki, bogactwa w szych zgliszczach.

Pełnym mistycznego znaczenia jest ten obchód jubileuszu papieżkiego, tak wyjątkowy i bezprzykładny, ten tryumf w niewoli, w którym uczestniczą przedstawiciele wszystkich narodów na cześć niewolnika, starca, któremu wszystko zabrano.

A jednak ten posępny tryumf, ten hołd ludów niewolnikowi składany jest jedynem zaprzeczeniem zwycięstwa siły i jej bałwochwalstwa, jest jedynem objawem świadczącym, że chrześcijaństwo jeszcze nie zniszczone, że są wierzący, co się gromadzą koło Następcy Chrystusowego, gotowi z nim przejść choćby w katakumby i podziemia, choćby na stos dla zwycięstwa wiary. Ta garstka wszechplemienna gromadząca się dziś w Rzymie z wszystkich stron świata, to jedyna siła odporna zjednoczona, która przeważać ma

wszechplemienne organizacye ztracicieli. My i oni, nikt więcej — katolicy ztracicieli — oto stan społeczeństwa europejskiego w rocznicę zamknięcia lat Piotrowych pontyfikatu Piusa IX!

Z. LUDWIK DĘBICKI.

KARTA WSPOMNIENI

Berlicza Sasa.

(Ciąg dalszy.)

Ta spokojność jego, pełna dostojeństwa i te słowa tłómaczące powody ucieczki jego z Medyolanu w sposób tak nieprzewidziany, nie mogły nie zmniejszyć nieco nienawiści mojej i pogardy do barona Arnolda. Żle mówię — gardzić nim jako podłym tchórzem, nie miałem już prawa. Doświadczałem nawet wewnątrz coś podobnego do litości, ba nawet do szacunku. Bo biorąc rzecz grunto-wnie, przyznać musiałem, że to jego wyrzeczenie się dobrej sławy, to bezprzykładne poświęcenie własnego honoru, obowiązkowi serca i sumienia, były pewnym rodzajem heroizmu, zasługującym na wzgląd i uznanie.

— Mój panie! — rzekłem pod wpływem powyższych wrażeń, jeżeli słowa pańskie są prawdziwe, o czem nie wątpię — kwestya medyolańska nie może już być na porządku dziennym, będąc dostatecznie wyjaśnioną co do samego pojedynku. Lecz jest inne jeszcze z teje daty, która oczekuje swego zadosyćuczynienia. Ja skrzywdziłem pana w porywie uniesienia, którego nie potrafiłem pokroić. Masz więc pan prawo żądać odemnie satysfakcyi. Nie wątpię że to uczynisz, i gotów jestem przyjąć jego wyzwanie. Oto są pistolety! — a ten oto pan, tu obecny, dawny oficer francuzki, jest moim sekundantem.

— Lecz ja nie mam sekundanta — odparł baron — i mieć go dzisiaj nie mogę. Jeżelibyś pan zechciał odłożyć pojedynek do jutra, stawię się niechybnie z moim świadkiem o naznaczonej godzinie i w naznaczonym miejscu.

— Polegam na pańskim honorze — odpowiedziałem. — Będziemy czekać jutra, o samym wschodzie słońca, na wyspie *San-Christoforo*, od strony smętarza.

— Do jutra więc?

— Do jutra!

W stronie północno-wschodniej Adryatyku, w pobliżu Wenecyi, przyparty krańcem północnym o kanał *di Murani*, leży ostrow *San-Christoforo*, główny nekropol miasta. Mnogie tam spoczęły pokolenia Wenecyi — jedne skromnie, ubogo, bez śladu — drugie wspaniale, bogato, w cieniu pomników z marmuru i z brązu. Plebejom i patrycyuszom, ciemieżonym i ciemieżcom, tchną zarówno balsamy laurów, sykomorów i cyprysów — szeleszczą zefiry morza, grają fale Adryi, swoją wieczną, tajemniczą symfonię.

Było to miejsce ustronne, a jednak często odwiedzane. Gród żywych dostarczał codziennie liczny kontyngens umarłym. Codziennie ciągnęły tam żałobne gondole, śladem pogrzebowego statku, na którym Charon jakiś przewoził nieboszczyka na Elizejskie pola ostrowu *San-Christoforo*.

Nieraz artysta, filozof, poeta, zwiedzali te miejsca, by pomarzyć swobodnie, i duszę swoją na ton uroczysty nastroić. Niejedna boleść, niejedno cierpienie szukały tej samotnej, odludnej oazy, by się milczeniem pokrząć, modlitwą opromienić, w nadziei i wierze odrodzić.

Skoro słońce zaczęło skłaniać się ku morzu, Figeac i ja wypłynęliśmy od *S. Pietro di Castello* do *San-Christoforo*.

Figeac palił sygaro i milczał. Zdawał się smutnym; i zwykłym swoim *lazzi*, *concetti* i błagom dawał pokój. Kiedy go o przyczynę tej odmiany humoru zapytałem — odpowiedział:

— Smutny wcale nie jestem — *mais je me recucille* — wszak za godzinę może już żyć nie będę!...

— Nie rozumiem — rzekłem zdziwiony.

— *Corne de boeuf!* — zawołał. — Przecież nie trudno zgadnąć! — *Si tu succombes, je me brule la cervelle.* — Sam jestem na świecie — przywiązałem się do ciebie — nie wiedziałbym co z sobą robić bez ciebie. — Rozumiesz teraz?

Rzewnie odbiły się w duszy mojej te słowa pocziwego Francuza. Ścisnąłem dłoń jego i rzekłem:

— Czyliż nie żałowałbyś życia? — Wszak musisz mieć przyjaciół, krewnych, niejeden interes wiążący ciebie z światem. Nie doznałeś tych ciosów bolesnych, co kruszą serce i umysł kirem oblekają, bo nie byłbyś takim wesołym.

Figeac pokiwał głową, uśmiechnął się i powiedział:

— *Mon garçon!* nie znasz świata, nie pojmujesz ludzi. Przyjaciele, krewni, są to czeze słowa — *des mots vides de sens* — Niema ich w rzeczywistości. — *Or, je n'ai ni amis, ni parents!* Miałem ja kiedyś żonę..

— Jakto? byleś więc zonatym?

— *Oui — parbleu!* — dziwisz się? — *tout comme un autre j'ai payé ma taxe aux faiblesses de l'humanité.*

— Gdzież ona?

— Gdzie?... *elle voyage probablement dans le ventre de quelque requin peu gourmet.*

— Utonęła w morzu?

— *Oui — corne de boeuf!* — To jest nie utonęła, alem ją sam utopił..

— Być nie może! Żartujesz!

— Umarła podczas żeglugi z Porto-Rico, do New-Yorku. Musiałem więc pogrzebać ją w morzu. — *C'était une bonne femme.* Mam jednak żal do niej..

— Za co?

— Z jej łaski popełniłem grzech wielki. — *Elle m'a fait bénir le diable qui l'a emportée.*

— Rad jestem, że znowu powracasz do swego wesołego usposobienia, które ci każe zapewne zapomnieć twoich samobójczych zamiarów, w razie mojej śmierci.

— Mylisz się *mon garçon!* — Co rzekłem, zrobię niechybnie, jeżelibym ciebie utracił. Śmierć dla mnie nie straszna! Bo czemuż jest ona, jeżeli nie końcem głupiej komedyi, *qui m'embête en diable, et qui finira par l'embêter aussi un jour.* Taka rzeczy kolej. Jedni znajdują upodobanie czołgać się na śmieciisku doczesności i brnąć w niej całym jestestwem swoim. Drudzy — a takich nie wielu — radziby otrząść się z brudów ziemskości i w czystsze przenieść się istnienie. Dla tych ostatnich, skon jest chwilą wyzwolenia, chwilą pożądaną, a więc nie straszną. Śmiałem się całe życie z ludzi i z siebie — śmiałem się z wielu — i tak samo śmiać się będę ze śmierci, bo się jej nie boję. — *C'est ma philosophie à moi! Elle est éronnée peut-être, mais je m'en contente!*

Gdy tych słów domawiał, ostrow *San-Christoforo*, zaczął się podnosić z morza ze wszystkimi pomnikami swego nekropolu. Nić rozhoweru urwała się sama przez się i uroczyste milczenie owiało nas w obec tego przybytku śmierci i zniszczenia.

Kiedyśmy wyszli na brzeg, zadzwoniono na *Angelus* w kościołach Wenecyi. Poważne dźwięki dzwonów rozbiegły się przelotnie po skalistej toni morza, jakby głosząc światu godzinę modlitwy i hołdu. I w tejże chwili ukazała się w dali gondola, spiesźnie płynąca w kierunku *San-Christoforo*. Nie uszło dziesięciu minut, wysiadł z niej baron Arnold z mężczyzną lat średnich, weneckiego typu twarzy, którego przedstawił nam w charakterze swego sekundanta.

Podczas, kiedy Figeac i signor Girolamo (tak się nazywał świadek barona) układali się o warunkach pojedynku, postępując za nami, my z baronem zagłębiałiśmy się coraz więcej w dal ostrowa, przez nikogo nieuczęszczaną, pomiędzy zarośla i krzewy. Milczeliśmy obydwaj. W obec chwili stanowczej, która mię czekała, duch skupiał się w sobie, i lata ubiegłe stawały szeregiem przedemną, smutkiem napiętnowane i boleścią. Na żadnym z nich nie było godła pokoju, ni wesela! Każde wyrażało cierpienie jakieś, jakąś zawiedzioną nadzieję, jakieś nieszczęście! Obląkanie ojca, śmierć straszliwa matki, zaćmienie domowego ogniska, rozgrom całej mojej przyszłości, wyrzeczenie się uciech świata, błogości życia, samego siebie nawet, dla celów nienawiści i zemsty!... Z takimi-to stygmatami objawiała się przeszłość moja, mglista, ciemna, burzliwa! — A przyszłość?... nie śmiałem nawet badać jej — i wartoż było badać? kiedy cała doczesność moja miała może nie więcej jak parę minut trwania przed sobą. A gdyby ją traf i przedłużył kosztem dni przeciwnika mego — gdyby jej dozwolił sięgnąć w dalekie lata ziemskiego bytu, to jakież byłby ów byt mój z plamą krwawą na sumieniu i wieczną żalobą na sercu? bo ta miłość moja, pierwszy raz w życiu doświadczana; miłość nagła, niespodziana, pełna porwy i uwielbienia dla Grazielli, czemże była w istocie jeżeli nie snem edeńskim niemogącym urzeczywistnić się na jawie; jeżeli nie żywym przejawem pragnień duszy, szukającej ulgi w nadziei, ratunku w uczuciu?

Dumaniu mojemu położyło koniec przybycie nasze na plac boju, poprzedniczo obrany. Był-to jar nieobszernych rozmiarów, gęsto obrośnięty bujną vegetacją ziół rozmaitych i krzewów. Samorzutnie rozproszone odłamy głazów, mało tam zostawiały swobodnego miejsca, lecz dla celu, jaki nas tam sprowadził, więcej nie było trzeba.

Figeac i Girolamo opatrzyli pozycję, odmierzili kroki i zajęli się potem nabijaniem pistoletów.

Warunki pojedynku określono w ten sposób:

1. Bój na śmierć.
2. Lekkie rany nie wstrzymują biegu walki.
3. Ciężkie rany, przerywają pojedynek do zupełnego wyleczenia pacyenta. Później, przy każdym pierwszym spotkaniu, ma się znowu pojedynek odnowić, i tak aż do śmierci jednego z adwersarzy.

Tym sposobem sformułowane zasady boju ogłosili nam panowie sekundanci, poczem zapytali nas:

— Panowie! czy zgoda?

— Zgoda! — odpowiedziałem.

— Zgoda! — powtórzył baron Arnold.

Żaden z sekundantów nie wspomniał o pojednaniu, jak się to dzieje przed rozpoczęciem śmiertelnej orężnej rozprawy. Figeac dla tego, że znał dokładnie smutną historję mojej młodości i widział w baronie sprawcę mego nieszczęścia. Girolamo dla tego, że wiedział o zniewadze jaką wyrządziłem baronowi w Medyolanie. Nie było więc, powtarzam, i nie mogło być mowy o polubownem załatwieniu kwestyi. Bój śmiertelny musiał ją rozstrzygnąć.

Twarz barona wyrażała ponurą determinacyę i zamęt wewnętrzny, świadczący o stanie duszy jego, przywiązanej, jak widać było, do świata, węzłem jakiegoś przeważnego interesu.

Gdy zajął swoje stanowisko i przyjął pistolet z ręki sekundanta, twarz jego blada, okryła się sinym odcieniem i zdawało się że łza gotową była trysnąć z jego źrenicy.

Co do mnie, byłem spokojny, bo żałować życia nie miałem powodu. Dwanaście tylko kroków dzieliło mię od lufy przeciwnika. Wiedziałem że wprawnie strzelał i serdecznie mię nienawidził, a jednak mimo pewności jaką miałem, że mię zechce zabić i zabije, nic takiego nie doświadczałem w sobie, coby obawą nazwać można było. Przeciwnie, chociaż młody jeszcze, ale znękany cierpieniem, pragnąłem gorąco spoczynku; a że śmierć tylko jedna mogła zadosyć uczynić tej żądzy, więc pragnąłem śmierci.

Nadeszła w końcu chwila krwawej rozprawy. Sekundanci stanęli na swoich miejscach i uprzedzili nas, że na słowo trzy, przez nichże wymówione, powinniśmy jednocześnie wystrzelić.

Baron mówił coś szeptem do signor'a Girolamo, wręczając mu list jakiś i złoty medalion, który zdjął z szyi. Poczem rzekł do mnie:

— Jużem gotów!

Figeac i Girolamo podnieśli rękę na znak, żebyśmy brali na cel. Na umówioną komendę trzy, rozległy się dwa wystrzały, i obłok dymu owiał nas.

Nie wiem czemu przypisać, że kula barona chybiła mety? Czy pistolet nie dopisał? czy ręka zadrżała? Czy nakoniec nie zechciał zabić mię, by nie obarczyć zanadto sumienia swego, i tak już względem mnie występnego?

Co do mnie, chybiłem, bom nigdy do człowieka nie mierzył, nigdy krwi ludzkiej nie przelał. Pojmowałem zabójstwo w chwili uniesienia, kiedy natura wychodzi z karbu, wkracza w usposobienie anormalne, gorączkowe i staje się piorunem, ale nie pojmowałem, żeby można było zachować krew zimną, godząc na życie bliźniego rozważnie, metodycznie, i to nie wnet po doznanej krzywdzie honoru, ale po przejściu miesięcy wielu, albo lat wielu, kiedy gniew i pragnienie zemsty miały już czas ochłonąć i ulotnić się. Nic zatem dziwnego, że mię w samym momencie strzału ręka zawiodła.

Przez dym unoszący się w górę, ujrzałem barona. Stał nieknięty na miejscu swoim i podawał pistolet do nabijania.

Przyjmując pistolet odemnie Figeac, rzekł półgłosem:

— *Corne de boeuf!* — *Tous les deux, vous tirez comme des écoliers!* — Popraw się, *mon garçon!* Pomyśl o twojej biednej matce, i pal bez litości! — *Il le faut!*

Na hasło sekundantów znowu wzięliśmy na cel — znowu zagrzmiwały dwa wystrzały — i znowu skryliśmy się w gęstym obłoków dymie. Lecz w tejże chwili usłyszałem jęk, na który Girolamo boleśnym krzykiem odpowiedział. Figeac i ja skoczyliśmy naprzód i zobaczyliśmy barona rozpostartego na ziemi, w ostatnim spazmie konania. Dłoń tulił do serca, a z pod niej buchała krew pienista i czarna.

Wkrótce żyć przestał.

Ponieśliśmy martwe ciało do gondoli. Płacząc rzewnie Girolamo, usiadł przy niem i odpłynął do Wenecyi.

— *La vengeance est consommée!* — rzekł do mnie Figeac uroczyście. — Wracajmy do domu. Stało się co się stać miało. Bóg osądził i wydał wyrok stosowny. Jego powołał do odpowiedzialności, a ciebie oszczędził. On umarł — ty żyjesz i żyć powinieneś. *A chacun son lot!*

Ze swego stanowiska Figeac rezonował trafnie. Według niego, baron zginął, bo na to zasłużył. Zginął z mojej ręki, bo nieszczęść moich stał się powodem. Sam ściągnął śmierć na siebie, bo gdyby

się nie był dopuścił zbrodni, nie poniósłby kary. Każdy przyzna, że w tem rezonowaniu pocziwego Francuza nie brakło trafnych dedukcji, ściśle loicznych, matematycznie wiernych. A jednak nie starczyły one dla uspokojenia sumienia mojego! Zemsta nie była ani w mojej naturze, ani w moich zasadach. Od najranniejszych dni moich dziecinnych brzmiały nieustannie w duszy mojej słowa matki o pobłażaniu, pokorze i miłości. Świętymi słowy Bogaczłowieka łagodziła ona i uszlachetniała jestestwo moje, ścierała spadkowe piętna ułomności i przywary, uczyła być chrześcijaninem i człowiekiem, a rodowe przywileje i bogactwa mieć za rzeczy podrzędne, marne, nic nie znaczące w obec sumienia i Boga. Jeżeli tedy, wbrew tym zasadom poprzysiągłem zemstę nad baronem, było to w chwili takiego zamętu i takiej burzy serca, w jakich względy żadne i pryncypia głosu mieć, ani swej władzy wywierać nie mogą.

Przysięgę tę uroczyście, przed wizerunkiem męki Zbawiciela dopełnioną, uważałem za obowiązującą, chociaż sprzeciwiało się to zasadom chrześcijańskim. Przysięgi tej dopełniłem, ale gorzko opłakiwałem sercem to zadość jej uczynienie. Zabiłem człowieka, który stał już może na drodze pokuty i poprawy, którego śmierć cios może srogi komuś zadała, czyjś byt zachwiała, czyjaś pomyślność zaćmiła! I ta ofiara, którą synowskiej poświęciłem zemście, czy nie zasmuciła czasem duszy matki mojej, co miłością i pobłażaniem istniała na ziemi, nim się wiekuistą miłością opromieniła w niebie? Czy nie pozbawiły mnie na zawsze jej opieki i błogosławieństwa, których, krwią bliźniego splamiony, stałem się dotąd niegodnym?

Myśli podobne przebiegały umysł mój, jako straszliwe meteory spustoszenia i rozgromu! Mąciły pogodę ducha i truły życie moje! Dnie mijały i tygodnie, a smutek mój nie zmieniał barwy — nie przestawał być czarnym i ponurym. Sen opuścił mię. Wszystko, w czem znajdowałem upodobanie, straciło dla mnie powab i siłę pociągu. Figeac żywo zaniepokojony stanem moim (bo się do mnie serdecznie przywiązał) nie zaniedbywał niczego, coby mogło złagodzić we mnie bolesne wrażenie pojedynku. To mię rozrywał czytaniem humorystycznych powieści, to sam tworzył zabawne narracje o przygodach swoich na lądzie i morzu, pod niebem pięciu części świata; to śpiewał z komiczną intonacją naiwne strofy ludowej muzy Prowancyi i Gaskonii, z przyprawą lokalnego akcentu i gestu.

Bywało, wyciągnie mię z domu, posadzi do gondoli i wozi po kanałach, unikając wszakże starannie takich miejsc, z których można było widzieć ostrow *San-Christoforo*, krwią barona Arnolda

niedawno zboczony i gdzie zwłoki jego spoczęły. Te przejażdżki nasze trwały zwykle do późna. Ruch łagodny statku, uspokajał mię. Świeże powiewy morza studziły skroń rozognioną i pałające łono. Cichość uroczysta wieczornej chwili, przerywana kiedy niekiedy dalekim śpiewem rybaka lub gondoliera, koła serdecznej rany ból dotkliwy.

Pewnego dnia spacer nasz sięgnął dalej niż zwykle. Głęboki wieczór owionął już Wenecję, kiedyśmy kanałem *della Giudecca* do niej powracali. Cicho było i jasno, bo księżyc pełnią świecił i gwiazd mrugało bez liku. Gondolier nasz, Fidelio, zawodził jakąś ludową kantatę o Lagunach Wenecyi, pełną zaklęć, czarów i demonicznych zjawisk. Treść onej, wzięta nawet alegorycznie, była niedorzeczną, ale nota, wielce mi się podobała, bo tęskną była i rzewną.

— Kto nauczył ciebie tej piosnki? — zapytałem Fidelia.

— Piękna i dobra *Signorina* — odpowiedział. Mieszka ztąd niedaleko i zowie się Graziella Frangigani.

— Graziella! — zawołałem wzruszony do głębi. — Tak — tak — ona ztąd blisko rzeczywiście, za tym ot murem — w zakręcie ciasnego przesmyku. Słyszałem jak śpiewała — widziałem jak tańczyła...

— *Si Signor!* — przerwał Fidelio z uniesieniem — śpiewa jak anioł! tańczy jak zefir morza! — Wozilem ją nieraz, to do kościołów, to na ostrowy, to na *vegatty* świąteczne. Z nią była zawsze poważna staruszka, matka może, a także jakiś poważny *Signor*, opiekun, czy ojciec. — Tak, tak — musiał być rzeczywiście jej ojcem, bo kiedy doń mówiła, to nazywała go zawsze *Caro padre mio!*

Graziella nie przestawała nigdy być przedmiotem dum i uczuć moich; ale dumy te i uczucia zostające pod naciskiem wrażeń, śmiercią barona Arnolda wywołanych, nie miały dość siły, żeby się rozwinąć swobodnie i zagnąć mię do gwałtownego otrząśnienia się z atonii ducha i ciała, w której od daty nieszczęsnego pojedynku mego zostawałem. Myśl o Grazielli i miłość moja dla niej, były to klejnoty serca mego, troskliwie w skarbnicy uczuć przechowywane, których istnienie było tajemnicą przed nią i przed ludźmi. Sam tylko pielegnowałem je, czuwałem nad niemi, cieszyłem się niemi, jak sknera złotem swoim, krzepiłem siebie oglądaniem ich, posiadaniem bezpodzielnem i tajemnem.

Pośród nocy bezsennych, w malignie rozpaczy straszliwej, nieraz przywoływałem jasną postać Grazielli — i ona stawała przedemną w całej pełni uroku swojego, lekka jak córa eteru, melodyjna jak Seraf chórów niebieskich, uśmiechająca się jak nadzieja, promienna jak miłość. Przed jej obliczem nikły czarne widziadła gorączkowej wyobraźni mojej, wolniały gwałtowne ruchy serca, skroń pałająca stygła cudowną świeżością obłana, i błogi letarg spływał w zmysły pokojem i rozkoszą. O urzeczywistnieniu tej nie pomyślałem nigdy. Czar złudzenia starczył pragnieniom duszy mojej, dla której posiadanie Grazielli na jawie zdawało się być szczęściem niedościąłem, istniejącem gdzieś daleko po za obrębem podobieństwa, na krańcu ostatnim edenów uludy. A jednak, kiedy Fidelio nazwisko jej wymówił, jej piosukę rzewną zaśpiewał, kiedy mi naponniał niebacznie, że byliśmy blisko, bardzo blisko od jej mieszkania, zaszła nagle odmiana w usposobieniu mojem. Żywo, gorąco uderzyło serce niepokromioną żądzą ujrzenia, jeżeli nie jej samej, to przynajmniej domku co ją zawierał, z którego po raz pierwszy zajaśniało mi jej oblicze, zabrzmiał głos melodyjny, co przebudził, zachwycił, opromienił całe jestestwo moje.

— Fidelio! — rzekłem gorączkowo — przybij do brzegu — i zatrzymaj się.

Figeac niemy dotąd i zamyślony, zawołał wesoło:

— *Corne de boeuf!* co to, to mi się podoba! *Tu commences à devenir autre chose qu'une poule mouillée!* — *C'est de bonne augure, morbleu!* — *Merci, mon garçon!*

— Za cóż dziękujesz?

— *Parbleu!* alboż nie mam za co? — Widzę że powracasz do życia, że się czemś interesować zaczynasz. Jest-to krok wielki — *et Dieu aidant, ce n'est pas le dernier!*

Wyszliśmy z gondoli, Figeac i ja, zwróciliśmy do ciasnego przesmyku, na zakręcie którego stał domek Grazielli. Okienko było zamknięte, firanka była spuszczone. Mdłe światełko mrugało tęskno w komnacie. Głucho i martwo było wewnątrz — żadnego ruchu! żadnego odgłosu! żadnego przejawu czuwania i życia!

Zbliżyłem się do okienka. Natężyłem słuch i oko, lecz słuch i oko nic wybadać nie mogły. Nie była to jeszcze pora snu, więc nie spała. Jeżeli wyszła z domu? na cóż to światło? Jeżeli nie wyszła? czemuż w jej mieszkaniu martwość taka i takie milczenie? Sam nie wiedziałem na jakim się wniosku zatrzymać. Figeac błą-

kał się także w domysłach. Słów nie znachodzę odpowiednich smutkowi, jakiego doznałem w tej chwili. Gdyby martwy posąg, stałem bez ruchu i mowy, przykuty całem jestestwem mojem do stanowiska, na które mię miłość powołała niebacznie.

— *Du courage, morbleu!* — rzekł mi na ucho Figeac. — *Tu rédeviens de nouveau une poule mouillée!* Miej otuchę, bądź dobrej myśli — a jeżeliś pokochał tę czarownicę Graziellę (co już od dawna odgadłem) to trwaj w uczuciu, bo tego warta, i dąż mężnie do celu! Spuszczając nosa na kwintę i być babą, tobie nie do twarzy. *Corne de boucuf! Quand j'étais jeune, moi, je n'y allais pas de main morte* — *allez!* Teraz nie przeszkadzaj mnie. — *J'ai mon idée!*

Rzekł, i zapukał ostrożnie do drzwi. Nikt zrazu nie odpowiedział na hasło, lecz kiedy Figeac powtórzył dobitnie swoje pukanie, ktoś pokręcił kluczem ze środka i drzwi do połowy uchylił. Była to młoda Wenecyanka, w stroju plebejskim, kształtem szykowna, z oczyma pełnemi blasku i determinacyi. Chociaż ujrzała dwóch nieznanym przed sobą, i w porze niewłaściwej do widzenia, żadnej nie okazała obawy, a zapytała spokojnie, z weneckim akcentem:

— *Che volete?*

Figeac, który jak się pokazało, miał rzeczywiście *son idée à lui*, powzięta *a priori*, odpowiedział bez wahania się:

— *Signorine!* — Jesteśmy podróżni. Szukamy gospody — *una piccola casina* — czy tu niema do najęcia?

— *Santa Maria!* — rzekła z gestem podziwu młoda Wenecyanka. — Gdzież u nas może być *una casina* do najęcia! Domek nie wielki — dwa tylko pokoiki. W jednym mieszka sama gospodyni, *Signora Ottaria*, a w drugim leży chora moja dobra *Signorina Graziella Frangigani*.

— Chora! — zawołałem do głębi wzruszony.

— *Si Signor* — odpowiedziała smutnie. — Od kilku już tygodni cierpi biedna!

Figeac na to:

— Może nas tu Pan Bóg sprowadził. Jestem lekarzem, a ten oto młody człowiek, moim pomocnikiem. Nie mało chorych winni nam swoje wyzdrowienie. Pomagamy cierpiącym z obowiązku chrześcijańskiego, nie zaś z widoków interesu. Ani ja, ani mój kolega zapłaty nie przyjmujemy. Jeżeliby tedy *Signora Ottaria*, o

której mówiłaś, że jest gospodynią domu, raczyła powołać nas do chorej, możebyśmy jej ulgę przynieśli.

— *Aspettate! aspettate!* — rzekła spieszenie i radośnie — poczem wbiegła skwapliwie do środka mieszkania.

Co do mnie, podziwiałem przytomność umysłu Figeac'a i błogosławiłem jemu w duszy. Rola, jaką na siebie przyjmował, w razie jeżeliby nas powołano do chorej, nie trwożyło mię bynajmniej. Byłem pewny, że się potrafi znaleźć zręcznie, i nie zdradzi swej niezajomości lekarskiej sztuki. Wreszcie, nie miałem pewności, że jej nie znał. Wszak żył długo i szeroko; widział i doświadczył wiele. Mógł się wzbogacić sekretem jakimś leczebnym, jakimś specyfikiem zbawiennym, który potrafiłby zastosować skutecznie do stanu pacjentki i uzdrowić ją.

Kiedym tak rezonował, dziewczyna wróciła pospieszenie, powołała nas z sobą, i drzwi na klucz zamknęła.

Weszliśmy...

Nie potrafię zdać sobie sprawy z tego, czegom w tej chwili doświadczał. Radość, obawa, smutek, zachwyty, nadzieja, błogość jakaś nieopisana, przemykały po duszy mojej drgającej, jak strona eolskiej arfy, pod naciskiem wrażeń, co gdyby powiewy przelotne trącały o nią kolejno. Czułem się niewypowiedzianie szczęśliwym, wstępując do mieszkania Grazielli — a jednak wiele było jadu w tem poczuciu szczęścia! Wiele kolców bolesnych w tym kwiecistym wieńcu ułudy i rozkoszy! (C. d. n.)

CZY JEZUICI ZGUBILI POLSKĘ?

I.

Kto są Jezuiti — Czy ich instytut uległ jakiej zmianie. — Suma czyli treść ich instytutu. — Rząd Jezuitów jest-li despotyczny. — Ślepe posłuszeństwo i kosmopolityzm. — Cele i widoki zakonu. — Zarzuty wzajemnego szpiegowania, zwolniającej nauki moralnej, niedozwolonego handlu i królobójstwa.

(Ciąg dalszy.)

W kwitnącym stanie liczył zakon więcej jak 20.000 członków; dzisiaj liczy blisko 9.000; każdy pojmie, że zarządzać tak licznem zgromadzeniem, jenerał sam osobą swoją nie może. Pomocnikami jego w tej trudnej sztuce rządzenia ludźmi. są superiorowie i rektorowie

domów, ci odnoszą się we wszystkim do prowincyałów¹⁾, prowincyałowie zaś przez asystentów uwiadamiają o wszystkim generała²⁾.

Ażeby generał mógł znać stopień cnoty, nauki i zdolności każdego z członków, przysyłają mu prowincyałowie katalogi prowincyi. W katalogach tych³⁾ jest każdy Jezuita opisany najdokładniej. Począwszy od miejsca urodzenia aż do najdrobniejszych wad i usterek, wszystko tam oznaczone. Szczególnie ciekawe są relacye o zdolnościach, talentach i stopniu doskonałości w życiu zakonnem. Dzieje się więc, że generał zna nieraz lepiej Jezuitę, niż on sam siebie, umie go więc w danym razie użyć z pożytkiem jego duchownym i chlubą zakonu.

Władza rządząca zakonem wygląda pozornie na prosty despotyzm. Generał ma władzę pełną — prowincyałowie i przełożeni niżsi, to jego urzędnicy, członkowie zakonu posłuszni mu być muszą. Istni niewolnicy! — Tak może pomyślał nie jeden zwolennik liberalnych instytucyj, czytający tę kartę. Tymczasem jak niebo od ziemi tak rząd zakonu daleki od despotyzmu.

Najprzód, generał jest wybierany przez prowincyałów i delegowanych z każdej prowincyi wolnym wyborem⁴⁾: Prawo wolnej elekcyi z wszystkimi prerogatywami jest tutaj w najzupełniejszym użyciu; zapobieżono tylko zgubnym w praktyce jej skutkom⁵⁾.

¹⁾ Instytut nakazuje przełożonym domów, aby każdego tygodnia uwiadamiali prowincyała o stanie domu.

²⁾ Według instytutu, prowincyałowie co trzy miesiące donoszą generałowi o stanie prowincyi.

O tych katalogach opowiada obszernie instytut. Tom I. *Const. pars 9. cap. 6. §. 3. et pars 8. cap. 1.*

³⁾ Układają je przełożeni domów z czterema z starszych ojców.

⁴⁾ Na owych sejmach wyborczych zakonu prezyduje *Vicarius generalis*. Po prawicy jego zasiadają czterej asystenci i prowincyałowie, po lewej delegowani prowincyi i prokuratorowie prowincyi, tj. ci, których z krajów zamorskich prowincyałowie miasto siebie delegują. Przez cztery dni przygotowują się elektorowie do świętego aktu, modlitwą, postem i umartwieniem, dnia piątego przeznaczanego na samą elekcję, *Vicarius gener.* ma mszą św., wszyscy Ojcowie komunikują. Potem udają się do sali zamkniętej; wybierają sekretarza kongregacyi i trwają całą godzinę na modlitwie. Potem wykonują przysięgę przed wikaryuszem, że tego generałem obiorą, który zda się im najgodniejszy. Następnie wotowanie sekretne i czytanie wotów przez sekretarza pod doglądem wikaryusza i dwóch starszych Ojców. Podczas tego obrzędu, Ojcowie i bracia, którzy nie wchodzą w komplet elektorów, modlą się w kaplicy domowej lub w kościele. (Wyjęte z instytutu: artykuł *Formula congregationis generalis*). Wikaryusza mianuje generał przed śmiercią, lub w niemożności tego, wybierają asystenci. (*Congreg. 4. decr 5 et Congr. 8. decr. 28.*) Ktoby większością głosów wybranego generała przyjąć nie chciał, taki wyklęty. (*Const. pars 8. cap. 6. §. 8.*)

⁵⁾ Nieprzyjaciele Jezuitów nie chcą zgoła wiedzieć o tem. Głoszą, że generał rządzi nieograniczenie i samowolnie i ztąd wątpią o moralności zakonu,

Jeneral więc Jezuitów, mimo tej wielkiej władzy jaką dzierży, nie jest samowładnym, a więc i despota. Władzę bowiem otrzymuje od zakonu całego i to tak, że sam poddanym jest we wszystkim zakonowi⁶⁾.

W razie ciężkiej a długiej choroby lub nieudolności umysłowej, zakon mianuje zastępcę jenerała, który nazywa się wikaryuszem generalnym. Gdyby zaś jeneral dopuścił się ciężkiej a publicznej winy, gdyby śmiał fundacye i dochody zakonu obracać na własny lub rodziny swej użytek lub oddać je w obce ręce, gdyby mu dowiedziono, że szerzy doktryny przewrotne, niezgodne z wiarą i duchem instytutu, w takim razie zakon zebrany na wezwanie którego z asystentów w kongregacyę jeneralną, może i powinien jenerała złożyć z urzędu, a nawet, gdyby się tego potrzeba okazała, wydrzeć z zakonu⁷⁾. Jest-to coś podobnego do owych głośnych instytucyj polskich z 1607 r., „*de non praestanda obedientia*“.

Jak długo zakon istnieje, nie było ani jednego przykładu podobnej detronizacyi jenerała; każdy wszelako przyznać musi, że nie jest despota ten, którego odrzeć z nadanej godności własni poddani w pewnych okolicznościach mogą i powinni. Dla dania rady w rządzeniu, oraz dla dozorowania, czy jeneral pilnie przestrzega praw i regul zakonu, kongregacya która wybrała jenerała, wybiera czterech doznanej cnoty i dojrzałego rozsądku ojców, zwanych „*assistantes*“⁸⁾. Oni to są stróżami praw zakonu i władzy jenerała, aby nadużyta ze szkodą zakonu nie została. Przytem są ministrami jenerała. Każdy ma wyznaczone prowincye, których sprawy u jenerała popierać i załatwiać powinien⁹⁾. W razie śmierci lub dłuższej niebytności jenerała, jeden z nich za wiedzą zakonu dzierży jeneralską władzę; gdyby zaś jeneral dopuścił się czynu godnego złożenia, wtenczas przysłuża im prawo zwolania kongregacyi, a nawet w nagłym razie zrzucenia go przez siebie samych i wyznaczenia wikaryusza. Dla tego to pierwszą zawsze kwestyą podaną do rozwiązania na kongregacyach prowincjonalnych jest pytanie: czyli potrzebna kongregacya generalna lub nie¹⁰⁾. Deputowani prowincyi zjechawszy się do Rzymu, obradują w nieobecności

którego czyny i sprawy złożone w ręce jednego człowieka, a człowiek zawsze zbłądzić i źle czynić może.

⁶⁾ *Const. p. 9. c. 4 § 7.*

⁷⁾ *Constitutionem pars. 9. c. 5.* Bliżej określona jest władza i wszystko co się tyczy asystentów na kongregacyi pierwszej *titulos VI*).

⁸⁾ Polska miała początkowo tego samego asystenta co niemieckie prowincye. Jednak kongregacya jeneralna 18, dekretem 10 zadecydowała, ażeby dla Korony i Litwy osobny był asystent. (*Vide decreta Congr. XVIII. decr. X*)

⁹⁾ *Forma Congr. prov.*

¹⁰⁾ *Congregationis 2 decretum 9 — Congr. 21. decr. 10.* Kongregacye jeneralne zbierają się za życia jenerała, nie zawsze tylko dla tego, aby złożyć jenerała z urzędu lub śledzić jego rządy, ale zwoływane bywają za zdaniem deputowanych także dla rozwiązania różnych ważnych kwestyj, które zbieg okoliczności wywołał

jenerała nad tym punktem, wota swe dają na kartce bezimiennie. Nie jest-że to coś nakształt owych sesyj głośnego sejmu inkwizycyjnego 1592 r., który oszalone wolnością głowy szlacheckie, za szczyt wolności uważały? Jest między jednym a drugim ta wielka różnica, że posiedzenia inkwizycyjnego sejmu były ekscesem swawoli, niemogącym się uniewinnić żadnem prawem Rzeczypospolitej — zaś wotowanie deputowanych w nieobecności jenerała nad potrzebą zwołania kongregacyi jest w myśl instytutu — bo zakon tym sposobem chce się zabezpieczyć przed nadużyciem nieograniczonej prawie władzy, którą sam złożył w ręce jenerała dla lepszego rządu.

Toć też rodakom zadającym zarzut despotyzmu jezuickiemu rządowi, tę jeszcze pozwolę sobie uczynić uwagę. Gdyby elekcyjna Rzeczpospolita Polska, zachowując złote prawo wolnej elekcyi, zostawiła raz wybranemu królowi taką władzę, jaką zakon Jezuitów zlewa na jenerała swego, i tak opatrzyla się przed nadużyciem tej władzy jak zakon Jezuitów — czyż wątpić można o jej istnieniu politycznem po dziś dzień. Ale przypuśćmy nedorzeczny sposób elekcyi „*virilim*“, związawszy temu królowi ręce i tylko tytuł z cieniem władzy zostawiwszy przy tej nieskończonej elastycznej konstytucyi polskiej, cóż dziwnego, że źródłem głównych przyczyn upadku stało się właśnie to, co najwyższą narodu pomyślność stanowić powinno: prawo wolnej elekcyi.

Jak jenerała zakon, tak pierwszy mianuje wszystkich przełożonych w prowincyi, zasięga jednak pewnej rady od kilku profesów prowincyi, i dopiero poinformowany od nich, przystępuje do mianowania. Ustalonym na swym urzędzie, dodani są czterej konsultorowie i admonitor¹¹⁾, którym przysługują te same względem prowincyałów i rektorów prawa, jakie służą asystentom i administratorowi względem jenerała.

Tym sposobem zabezpieczone są prowincye i domy przed samowolą przełożonych.

Kto się bliżej zastanowi nad rządem zakonu, ten wyznać musi, że zakonodawca Ignacy św., pisząc konstytucye, nie miał nic innego na względzie, jak tylko dobro zakonu. Pocóż są rządy? aby rządzonym dobrze było. Teraz w polityce wywrócony porządek rzeczy — nie rządy dla ludów ale ludy dla rządów.

Ginać muszą prawa pojedynczych obywateli — ginać odwieczne prawa narodowe — ustępować nawet prawa boskie i Kościoła — tyśiące niewinnych, najpoczciwszych, najszlachetniejszych ludzi wloką smutne dni na wygnaniu, gniją po kazamatach i w więzieniu, lub umierają na rusztowaniu — wszystko aby szła machina rządu. Skarżą się i narzekają narody, placzą porwanych i pobitych braci, cnotliwsi boleją nad podeptaniem słuszności i wszelkiej prawości a ubóstwieniem zręcznego kłamu i przewrotności — nic to nie pomoże: machina rządu iść musi.

Nie tak jest w rządzie Jezuitów. Zakon zlewa zupełną nad sobą władzę w ręce jenerała i przełożonych, bo bez rządu ostać się nie

¹¹⁾ *Const. p. 9. c. 6. §. 14. — Congr. 12, decr. 34.*

może rodzina jedna, dom jeden, nie dopiero na świat cały rozgałęzione zgromadzenie, zlewa władzę zupełną, absolutną prawie, bo najlepszy jest rząd jednego, ale to zlanie władzy na drugich, aby nie stało się szkodliwym rządzonym, nie jest bezwzględne i pojedyncze członki zakonu, prowincyałowie i niżsi przełożeni podlegają wprawdzie jenerałowi we wszystkim, ale ten jenerał poddany jest znów zakonowi, który zbiera się na kongregacyach jeneralnych, wybierających i sądzących jenerała. Nie daremnie to papież Paweł III, zatwierdzając zakon, wyrzekł te słowa: „*Digitus Dei est hic* — palec Boży jest tu“ i wszyscy głębsi myśliciele, zkażinąd nawet nieprzychylni Jezuitom, wydziwić się dosyć nie mogą nad tą wyborną organizacją, która nadaje taką moc, taką siłę moralną. Ale płytkie i łatwowierne umysły, przyzwyczajone wyrokować na ślepo lub według pierwszego, najczęściej mylnego wrażenia, utworzyły sobie jakiś rząd tajny, straszny, posługujący się zbrodnią, a dla rządzonych nieublagany, zamieniający ich w istnych niewolników.

Nie potworniejszego nad wyobrażenia, jakie mają ci ludzie „o ślepej posłuszeństwie Jezuitów“. Gdzież szukać źródła tych mętnych pojęć? Oto widzą skutki — a odszukać nie mogą i nie umieją ich przyczyn. Widzą wszechstronną działalność Jezuitów: uczą, każą, nawracają, w cywilizowanych zarówno jak dzikich krajach, pracują w miastach i po wsiach nad młodzieżą i dorosłymi, nad ludźmi wszelkiej wiary i wszelkiego stanu, wszędzie namacalna ich praca, a czego się dotkną, wszystko nabiera pod ich rękami jakiegoś uroku: co raz poczęte, do końca przeprowadzone być musi, bo każdą ich pracę znamionuje energia i konsekwentna wytrwałość. Zakon ten ma trzechwiekową najchlubniejszą przeszłość, odegrał w Kościele i w wypadkach historycznych bez wątpienia ważną rolę.¹⁾ Zniesiony, mimo prześladowań monarchów, ministrów, korporacyj i ludzi prywatnych, mimo paszkwilów i pism na ich zgubę wymierzonych, mimo zawsze prawie im przeciwnej a tak wielowładnej opinii publicznej, powstał znowu, i z nową energią a dawną tradycyjną konsekwentnością rozpostarł się po wszystkim już świecie, otworzył kolegia i domy w stolicach królestw, kształcił tysiące młodzieży, apostołuje w zaeuropejskich ziemiach i zawsze jak falanga niezłomna stawia czoło doktrynom przeciwnym nauce Kościoła i zepsuciu moralnemu.

Jak sobie to wszystko wytłumaczyć? Co nadaje tym zniechędzonym Jezuitom tyle siły moralnej, imponującej wszystkim ich wrogom, której przeczyć nie można?

Nieprzywykli rzeczy brać do dna, a ku Jezuitom zle uprzedzeni, nie zdołali wynaleźć innego klucza do tej tajemnej dla nich wielkości Jezuitów, jak tylko właśnie w tych mętnych niedorzecznych pojęciach o rządzie i posłuszeństwie jezuckim. Paszkwile i dorywcze pismka,

¹⁾ Nieprzyjacielem Jezuitów nie przeczą wcale doniosłości ich znaczenia politycznego, tem tylko są różni od przyjaciół Jezuitów i prawdy, że wszystko złe, co się stało w świecie politycznym, na ich kark zwalają. — Jezuitom wszystkiemu winni.

kilka słów wyrwanych z kontekstu reguły Jezuitów, a najfalszywiej i złośliwie wykładanych, powtarzane z ust do ust i tem niejako uswięcone brednie: wszystko to podtrzymywało i żywiło podobne przekonania w tych ludziach. Mieszano też pojęcia jakie rozpowszechnione są¹⁾ o wolnych mularzach. Być może, że ludzie ci należąc sami do loży, wtajemniczeni w wrzekome tajemnice loży lub przynajmniej słysząc o skrytym rządzie i jakowejś strasznej przysiędze, uformowali sobie „*per analogiam*“ podobne mniemania o Jezuitach. Ztąd wzięły swój początek owe niańczyne bajki o Jezuitach frakowych i niefrakowych, o nocnych pod ziemią posiedzeniach i strasznych mordach wykonanych na rozkaz starszego — ztąd i urosły baśnie o ślepem posłuszeństwie.

Nie wątpię, że zaspokoję niejednego ciekawość, wyjaśniając kwestyę ślepego posłuszeństwa. Bo ponieważ zwykle „połowę prawdy bajka mieści w sobie“ — ludzie rozsądniejsi a mniej uprzedzeni słysząc czytając owe pojęcia, jak z jednej strony nie chcą i nie mogą im dać zupełnej wiary, tak z drugiej domyślają się i nie bez słuszności, że przecie tym baśniom musi coś służyć za podstawę, są więc ciekawi prawdy, a taka ciekawość nie jest naganną.

U Jezuitów istnieje rzeczywicie „ślepe posłuszeństwo“ ono jest istotną siłą instytutu. Nie bez przyczyny więc mówią, że Jezuita musi być ślepo posłuszny. W regułach zakonu znajdują się istotnie słowa: ślepe, trup i laska, które tym ludziom są kamieniem zgorzenia. Nie ma więc i w tem kłamu. Cała niedorzeczność i fałsz leży w złem zrozumeniu i złośliwym nakręcaniu słów powyższych.

Ale posłuszeństwo takie, jakie jest u Jezuitów, jest w obec rozumu i wiary rzeczą najsluszniejszą i najwzniolejszą. Energia zaś, moralna siła zakonu, i wszelka jego pomysłność i duchowa wielkość ma swoje źródło jedynie w owem „ślepem posłuszeństwie.“

We wszystkich zakonach istnieje ślub posłuszeństwa. — Rzecz bardzo rozumna, bo piękneby to było wojsko bez subordynacyi i posłuchu żołnierskiego. Jest więc posłuszeństwo i u Jezuitów.

Każdy zakon ma swój szczególny cel i odpowiednie do tego celu środki: jedne jaśnieją zewnętrzną surowością żywota²⁾, drugie ubóstwem³⁾, inne jak zakony pustelnicze samotnością, modlitwą, ale wszystkie stać mogą tylko na posłuszeństwie. W chwili bowiem, kiedy to zaniedbanem zostaje, upada wszelka świetność zakonu. I dla tego to twórca Jezuitów św. Ignacy, aby zapobiedz wszelkiemu moralnemu upadkowi swego zakonu, powiedział był te głęokie słowa: „Rychlejš dopuszczajmy, żeby nas inni zakonnicy przechodzili w postach, w czujnościach i w innych ostrościach życia i odzienia, które każdy zakon wedle swojego zwyczaju i reguły świątobliwie przyjmuje: ale w prawdziwym i doskonałym posłuszeństwie i w zaprzaniu woli i zdania swego

¹⁾ Słuszność lub niesłuszność zdań o Massonach, nie wchodzi w obręb tej pracy.

²⁾ Jak Kameduli i Trapiści, bo tylko nad swoim zbawieniem pracują.

³⁾ Jak zakony św. Franciszka, które były utworzone jako antidotum na wystawność i gorszący przepych kleru katolickiego w wiekach średnich.

najwięcej pragnę bracia najmilsi, aby byli znaczni ci, którzy w tym zakonie P. Bogu naszemu służą, ażeby prawdziwi synowie towarzystwa po tej barwie byli rozeznani.“ Są to słowa wyjęte z listu św. Ignacego do braci zakonnej w Purytanii, który Jezuitom służy za modłę i prawidłło posłuszeństwa¹⁾

Badając ducha tej reguły, trudno nie podziwiać tego wysokiego nastroju i zupełnego zaprzania, wyniszczenia samego siebie, jakiego od członków zakonu wymaga reguła — a z drugiej strony trudno nie wielbić tej prawdziwie niebieskiej mądrości, jaka widzieć się daje w praktycznem tej reguły zastosowaniu. Jezuita nie jest panem swych czynów, talentów, zdolności, zatrudnień — co większa — nie może mieć tego, co jest najdroższe ludziom, swego „chęć i rozumiem“. Takie zupełne wyrzucie się z wszelkich uczuć, pragnień i zachceń własnych naprawdę, to rzecz wzniosła i szczytna wielce i dowodzi niezrównanej mocy charakteru i siły moralnej. Czynić i działać co się i kiedy się żywnie spodoba, pójść za pierwszym lepszym widzimisię, nie umieć sobie odmówić niczego, to potrafi lada kto, pierwszy lepszy ulicznik, ale przelamać swoją wolę, nakazać swemu rozsądkowi milczenie, kiedy milczeć trzeba; ale w niczem nie mieć swej woli, nie módz rozporządzać niczem, nawet nauką i wiedzą swoją, i to nie dzień, nie rok, lecz życie całe; na to nie zdobędzie się ktobądź, trzeba być mężem z wielkiem sercem i hartem duszy. To też takie wyrzeczenie się woli i rozsądku nie poniża wcale, nie stawia bynajmniej człowieka w rzędzie sług lub niewolniczej zgrai, bo sługa i niewolnik jest posłuszny dla tego, że musi, co innego pracują ręce, a co innego chce wola — ale Jezuita dobrowolnie ugiął kark pod jarzmo posłuszeństwa i nigdy nie czyni tego, czego nie chce, ale to, co chce; bo czyni to, co przełożony chce, a on chce to, co i starszy. Ślub posłuszeństwa u Jezuitów jest jak ślub małżeński, jak przysięga urzędnika lub żołnierza, wszędzie zaciąga się obowiązek, a nieraz ustaje własna wola, rzec się nieraz potrzeba własnego zdania.

Ileż to razy za ordynansem hetmańskim staje żołnierz na straconej czacie, wbrew woli, bo drogie mu życie, wbrew swojemu nieraz rozsądkowi. Otóż Jezuita zaraz od chwili wstąpienia do zakonu przez całe życie pracuje nad tem, aby przyzwyczaił się widzieć w starszym nie człowieka ale Chrystusa Pana. Nie jest to iluzją takie przekonanie, bo jak jest prawdą, że Bóg rządzi wszystkim: narodami przez królów, dziećmi przez rodziców, czeladką przez gospodarzy, sługami przez panów, wojskami przez hetmanów: toć zapewne nie będzie iluzją przekonanie w zakonniku, że Bóg nim rządzi w osobie starszego. Bóg rządzi mną przez starszego, posłusznym więc jego rozkazowi być potrzeba. Trudno naturze ludzkiej poddać wolę swoją pod wolę drugiego, trudno swój sposób widzenia i swoje zdanie zastosować do przekonań

¹⁾ U Jezuitów jak w innych zakonnych zgromadzeniach czytają u stoła dzieła naukowej i pobożnej treści, a co miesiąc obok reguły i ów list św. Ignacego.

rozumienia drugiego człowieka, ale wcale nie tak trudną rzeczą uczynić to samo względem Boga, bo gdzie się czuje nieskończoną wyższość moralną, tam łatwa każda choćby najtrudniejsza ofiara.

(C. d. n.)

DWUTYGODNIK KRAKOWSKI.

Na ciasnej scenie podrzędnego miasteczka, którego ludność wraz z przedmieściami zaledwie przechodzi 40.000, które od lat stu systematycznie spychane było na ubocze, aby jego życie po za obręb rogatki nie mogło się wychylić — zgola w tym Krakowie, gdzie dwa kierunki stary, katolicki, polski, i nowy rozkładowy łamią się z sobą, odbywają się wypadki, zawiele może powiedzieliśmy, przechodzą objawy dramatyczności swojego charakteru godne zaiste najtragiczniejszej epoki historii, w jakiej naszemu pokoleniu żyć przypadło.

Złe i dobre walczące z tą samą zaciętością, choć mniejszemi naturalnie środkami i w cieńszym zakresie, niż na wielkiej arenie zachodniego świata — sięgają tutaj do głębi prawdy lub fałszu i w miarę jak jedno lub drugie przeważy, to wydobywa jasne promienie wiary tkwiącej w tradycyi grodu i na dnie ludu — to znów wyzienie w najohydniejszy sposób duchem przecezenia, w jego ostatnim wyrazie, bo w przecezeniu Boga.

Lecz usiłowania ludzi w dobrych intencjach, lub ich szamotanie się ku złemu, nie wzbudzają tak wzruszającego wrażenia, jak skoro stanie naprzeciwko siebie duch boży z duchem złego przypadkowo, a raczej za zrządzeniem opatrności, jak się sama z siebie objawi i zmanifestuje ta potęga moralna wiary, która jest zawsze dziełem bożem, a w której ludzie mają tylko setną cząstkę udziału — a jakby dla jej jeszcze silniejszego odbicia wystąpi obok niej ten kierunek, który gruchocze ołtarze, pełni wiarę w sercach, a potężny w zniszczeniu, gdy upada, to żaloba jego bez Zbawiciela na krzyżu ma coś tak ponurego, że lżę litości z serc wierzących wycisnąć musi.

Zamknięcie oktawy Bożego Ciała stykało się z uroczystością jubileuszu Piusa IX jak z samym dniem jubileuszu spotkało się święto serca Jezusowego. Z tygodniowych obchodów Bożego Ciała ostatnia procesya we czwartek z kościoła N. Panny Maryi wychodząca bywa w Krakowie tradycyjnie najświetniejszą, kończy się ona bowiem widowiskiem ludowym „Konika zwierzynieckiego“, wiążącego się również z tradycją chrześcijańsko-rycerską odparcia Tatarów od murów Krakowa w XIII wieku. W tym roku procesye Bożego Ciała przewyższyły świetnością lata poprzednie, nie co do tłumu pobożnych, bo ten zawsze przepelnia, w nawę kościelną przemieniający się wspaniały rynek krakowski; lecz co do świetności średniowiecznej bractw z chorągwiami, cechów z godłami, reprezentantów uniwersytetu jagiellońskiego i t. d. — przyłączył się tym razem świat oficjalny, reprezentanci władz świec-

kich, sądownictwa i wojskowości w tak licznym ozszaku, jak tu tego nie bywało.

W chwili gdy przesuwiał się przez rynek ten majestatyczny pochód ostatniej procesji Bożego Ciała, kiedy korzyły się tłumy kilkunastu tysięcy ludu przed Bogiem utajonym pod postacią chleba — ostatnie wydawał tchnienie w domu zwanym „Krzysztofory“ człowiek, który acz sam nie bez wewnętrznej wartości i pewnych zalet charakteru, dal powód przed kilkoma tygodniami do zgorzenia i rozdwojenia religijnego.

Zgon ten przedwczesny Karola Gilewskiego wzbudził bolesne i wzruszające wrażenie. boleśniejszym jednak był o wiele dla tych, którzy w przeciwnym stali mu obozie, niż dla tych, którym śmierć jego miała dać sposobność do demonstracyj mających zrównoważyć świetny objaw uczuć katolickich ludności krakowskiej w dzień jubileuszu papieskiego. Gilewski mimo wiedeńskich swoich opinij, mimo braku uczuć religijnych używał powszechnego szacunku dla siły swego charakteru, dla szlachetności i poświęcenia jako lekarz i jako człowiek, czego niejednokrotnie dawał dowody. Wina jego nie była jego winą, ale winą wyobrażeń, któremi przesiąkł. Uczuł on błąd jaki popełnił, ale po niewczasie, sam bowiem wyznał: że nie przeczuwał, aby krok jego tak silnie dotknął uczucia religijne ogółu. Obok braku zasad katolickich nieznanomość społeczeństwa polskiego pełnęła go do tego kroku, który według swoich przekonań w najlepszej niewątpliwie podjął wierze. Bolesno też było patrzeć na zgon tego człowieka, który gdyby był katolikiem, byłby niewątpliwie przy zaletach charakteru doszedł do wysokiej wartości moralnej. Gdyby ci co pisali podle potwarze (do dzienników wiedeńskich) do takiej posuwające się bezczelności i głupstwa zarazem, że odważyły się twierdzić, jakoby księża i ultramontanie modlili się o jego zgon — gdyby ci potwarce byli zajrzeli w głąb serc katolików, byłiby w nich podsluchali gorącą modlitwę do Boga o ratunek tego człowieka, który niewątpliwie więcej był wart, niż ludzie, którym jego trumna miała służyć za oltarz do pierwszej uroczystości bezwyznaniowej, byłiby znaleźli w tych sercach, które oskarżali o podle uczucie zemsty i tryumfu, żalobę i smutek dużo wyższy, niż ten który krepą czarną na kapeluszach medyków się manifestuje, bo żal i troskę o duszę człowieka bez wiary, ale człowieka uczciwego, kiedy ich żaloba i ich domonstracye były dalszą zniewagą dla pamięci człowieka, na której jedna tylko ciężyla plama.

Lecz zanim przejdziemy do smutnego zaiste widowiska pogrzebu, mamy zdać sprawę z tryumfalnego obchodu dnia 16 czerwca. Nie będę wam opisywał uroczystego nabożeństwa, które we wszystkich odbywało się kościołach, tłumnego udziału ludności wszystkich warstw, która przystępowała w dzień ten i w następne do śś. sakramentów. Nie będę się rozszerzał nad uczuciami, jakie w dzień ten napelniały dusze Krakowian, w szale uczucia te powszechne i nam wszystkim wierzącym wspólne na całej kuli ziemskiej. Czyjeż serce niegluche dla głosu wiary nie rozrzewniło się, nie podniosło moralnie, nie uspokoiło w boleściach, nie uniosło podzięki Panu, że dozwolił naszemu skolatanemu pokoleniu używać tej wielkiej pociechy, że nam niejako widomie przypomniał, że

czasy piotrowe powracają i jeśli świat dzisiejszy nielepszym od tego, wśród którego książę apostołów gruntował Kościół — to potęgą tego Kościoła niemiejszą dziś niż przed XIX wiekami, bezpośredni związek z Chrystusem i ciągle jego czuwanie nad nawą piotrową, równie dziś jak wówczas jawne, kiedy sternika jej a swego zastępcę zachowuje nam na jedyną pociechę i ochotę w czasach tak pełnych goryczy i boleści.

Wszystkie te uczucia wypowiedziały już wymowniejsze pióra w waszem piśmie, ja tylko wspomnę o materialnej stronie tego uczucia, jakie Krakowianie nieśli w dzień ten Piusowi IX, o illuminacyi zewnętrznej, która była jakoby symbolem tego światła, które się rozniecało w duszach naszych, często w ciemności smutku pogrążonych, ale tego światła, które nie my jemu ale on w nas rozniecał, jego święte imię, jego wielka uroczystość zapalała jedynym ogniem ożywczym.

Wieczorem 16 t. j. w wilią rocznicy ogłoszenia wyboru Piusa IX, jako w dzień zebrania się konklawe kardynałów, po uroczystem nabożeństwie w kościele N. Panny Maryi administrator ks. kanonik Matzke w otoczeniu licznego orszaku duchowieństwa odprawił procesyę naokoło kościoła — tłumy pobożnych liczniej jeszcze niż na procesyi Bożego Ciała się zgromadziły, bo nie sama ludność krakowska, ale i wiele ludu okolicznego brało w niej udział.

Ze zmierzchem zajaśniały kościoły, klasztory, a za nimi całe miasto. Niewątpliwie od czasów wjazdu ks. Józefa Poniatowskiego w r 1809 Kraków nie widział tak świetnej, dobrowolnej illuminacyi. Oprócz gmachów publicznych jak ratusz i pałac spiski, mieszczący urząd polityczny, wszystkie okna gorzały, gdzie tylko mieszkali katolicy. Za ledwie 10% nieoświetlonych okien przypadało właśnie na żydów i protestantów. Zwracam bowiem waszą uwagę na przewrotną i kłamliwą relacyę Kraju, który mówił, że niektóre okna oświetlono — a dodaje, że illuminowali także żydzi i protestanci. Według tej relacyi zdawałoby się, że katolicy nie oświetlali, tylko niektóre okna, a illuminacyę zrobili innowiercy ze strachu. Jeżeli kto straszył, to właśnie koterya Kraju, jeśli kto ryzykował mieć wybite okna, to oświetający, bo cóż łatwiejszego jak namówić lub przejednać kilku z gawiedzi, jak się to tak często z tamtej strony praktykuje. Nikt nie organizował illuminacyi, nikt nie namawiał do niej a tem mniej teroryzował; na parę dni przedtem rozeszła się wieść, że będzie illuminacya. Znamy bardzo gorliwych katolików, którzy obawiając się, aby to nie dało pochopu do jakiejś burdy ze strony agitatorów, byli przeciwni illuminacyi. Zrobiła się ona sama z siebie, z wewnętrznego poczucia. Najlepiej świadczy o jej szczerości to, że jeśli tu i owdzie w głównych ulicach i większych domach było w oknach ciemno, to na przedmieściach i w małych domkach, nawet chałupach, których niebrak w Krakowie, wszędzie jaśniały okna świecami oprawionemi choćby w zaimprovizowane z ziemniaków świeczniki. Jeżeli zdarzyło się, że przez uszanowanie dla uczucia ogółu, lub przez osobisty szacunek ktoś z protestantów lub starozakonnych oświetlił swe okna — to było wyjątkowo, w ogóle rozpoznać było można mieszkania żydów po ciemnościach. Dla tego właśnie ulica Grodzka

i Floryańska były najmniej oświetlone, bo tam najwięcej wprowadziło się ostatnimi czasy żydów.

Do późnej nocy cała prawie ludność krakowska krążyła po ulicach przechodząc od kościoła do kościoła. Miasto miało pozór jakiegoś wielkiego święta, nie była to demonstracja, ale nabożeństwo, dla którego kościoły same już nie wystarczały, przeniosło się ono do domów — każdy spieszył brać w niem udział, połączyć się z powszechnym objawem uwielbienia, czci i radości. Kościół katolicki przemawia do duszy nie tylko wewnętrzną drogą łaski, ale także zewnętrznym majestatem swych obrzędów i uroczystości, wspaniałością swych świątyń podbija niejako zmysły nasze i porywa je w niebo. Zdarza się często, że dla tej zewnętrznej strony nabożeństwa stajemy się mniej przystępnymi, w miarę jak wewnętrzny nastrój ducha wyżej w nas się rozwija. Ale lud natomiast zachował całą świeżość, całą dziewiczość swojej pobożności. Dla niego zewnętrzna, że tak powiemy, ostentacja jest jednym z najdzielniejszych środków podniecenia ducha do Boga. W tem właśnie leży pełność wiary katolickiej i jej cywilizacyjny wpływ uduchownienia, że ona nie podaje tylko sucho zasad moralności chrześcijańskiej jak protestantyzm, ale że ona przemawia do wszystkich władz człowieka i do sumienia i do serca i do wyobraźni, że ona nie gardzi zewnętrzną szatą piękna, że ona posługuje się sztuką, malarstwem, rzeźbą, architekturą i muzyką, że jak królowa przyodziana we wszystko co piękne, żąda zewnętrznego manifestowania wewnętrznych uczuć.

Toteż jeśli ten zmysł dla zewnętrznej ostentacji kościelnej tak zwani ludzie cywilizowani nawet wierzący utracają — to lud go przechowuje w pełni — i wraz z formą przestrzega treści religii. Całe jego życie duchowe skupia się w kościele, nabożeństwo nie jest tylko podniesieniem ducha do Boga ale uroczystością, świętem, podaje mu to wszystko — czego my często szukamy daremnie lub z uszczerbkiem moralnego rozwoju w sferach jakiegoś ideału, — oni w swej prostocie osiągnęli go w najwyższym tego ideału wyrazie, bo zespolonego z wiarą, bo zwróconego na chwałę Pana.

Illuminacja kościołów była też nową, ale głęboką czyniącą wrażenie na ludzie uroczystością kościelną. Duchowienstwo dołożyło wielkich starań, aby tę uroczystość zrobić jak najświetniejszą. Po dwakroć bo 16 i 21 jako w dzień koronacji Piusa IX iluminacja ta powtórzyła się. Kościół Panny Maryi miał cały portyk oświetlony, to też jeszcze wspanialej odbijały się dwie jego wieżycy, jakby ginące w obłokach. Kościół św. Jana otoczony szeregiem lamp w architektonicznych liniach ozdobiony był transparentem z godłami, napisami i portretem Piusa IX. Kościół św. Floryana gorzał w światłach. Mały kościółek OO. Jezuitów ściągając tłumy pobożnych, był bowiem przyozdobiony wewnątrz i zewnątrz, światła, festony, godła i chorągwie łączyły się w nader estetyczną całość. Z dała widniała wieża Bożego Ciała na Kazimierzu. Zgola z 40 blisko kościołów krakowskich i kilkudziesięciu klasztorów podobno zaledwie kilka nie było oświetlonych.

Kraków tego wieczora miał postać tak uroczystą, coś tak wzruszającego i wspaniałego zarazem było w tym obchodzie pełnym po-

wagi, że myśl ta uciekała w przeszłość naszą, która takie ślady wiary w tak licznych świątyniach pozostawiła, to dzieliła się wrażeniem z tymi braćmi, którym niedozwolono uczestniczyć w radości świata katolickiego. to obejmowała całe chrześcijaństwo, to w uwielbieniu dla świętego jubilatą rozpamiętywała dzieje jego pontyfikatu, to wreszcie koła się ci-cha modlitwą i podzięką Bogu.

Nic nie zamąciło tego pięknego obchodu, nic nie przerywało tej pogody ducha, jaka w ten dzień całe miasto ogarnęła. A przejezdny w dzień ten mógł się przekonać, że nie bez pewnej słuszności zwano Kraków Rzymem Słowiańszczyzny.

Żaloba tylko w jednym domu rzuciła cień bolesny na ten piękny obraz tak świetnie manifestujących się uczuć katolickich. Liczne też do miłosierdzia Bożego płynęły modlitwy za człowiekiem, który bez świadomości tego co czyni, chciał w Krakowie zatknąć sztandar nowej herezy — i biedak niebawem został powołany przed sąd Najwyższego. Mimowolnem ale ogólnem było to wrażenie z samej daty zgonu Gilewskiego wypływające. Lecz jeśli wypadek ten zasmucał nas katolików, to zaiste śmieszny nad wyraz był epizodem w tej smutnej sprawie, że dziennik *Kraj* z mimowolnem wrażeniem ogółu przez nikogo niewypowiedzianem, z wyrokami Opatrzności rozpoczął polemikę i na serjo tłumaczył, że zgon dziekana wydziału medycznego nie był karą boską.

Dzień następny miał być poświęcony do kontrdemonstracji, jak z tamtej strony mówiono — odprowadzenie zwłok zmarłego na dworzec kolei miało do tej antykatolickiej demonstracji podać pole. Karty żałobne pojawiły się bez znaku krzyża św., znaku nieśmiertelności i zmartwychwstania, ale natomiast z trupią główką, godłem śmierci, godłem, które w pustelni ascety chrześcijańskiego ma swoje znaczenie duchowe, przemawia o życiu przyszem, inaczej gdy to godło ma mieć tylko takie znaczenie, jakie ma w klinice medycznej. Zmarły nie poje-dnał się z Bogiem pomimo usiłowań duchowieństwa, lecz wcześniej odstąpiła go przytomność w gorączkowej chorobie, jakiej uległ — a w otoczeniu jego nie było podobno nikogo, co byłby korzystał z chwili, aby przywołać kapłana. Wszak o to chodziło, aby w Krakowie był pierwszy pogrzeb bezwyznaniowy. Utrzymują że umierający wymawiał drżącemi nsty słowa: „Jezus, Marya“!

Ciało zmarłego miało być odwiezione do niższej Austrii, gdzie leży majątność jego żony. Kondukt pogrzebowy odprowadził przeto zwłoki na dworzec kolei. Nie dziwimy się wielkiemu udziałowi w tym pochodzie — wszak i innowiercom oddają katolicy ostatnią przysługę. Gilewski zajmował dość wysokie stanowisko, miał nie jedną zaletę charakteru, z resztą jedni pragnęli modlitwę za jego duszę przesać, inni uważali ten pogrzeb za widowisko. W tłumach ciekawych, które nie brały udziału w pochodzie, tylko z plantacyi mu się przyglądały, pano-wało naprzemian wrażenie współczucia i uczucie zgorszenia. Zgorszenie wpływało z sposobu urzędzenia pogrzebu. Miejsce döllingeryzmu za jął tu widocznie solidaryzm — starano się temu obchodowi nadać tem większą świetność, że był pozbawiony charakteru religijnego. Ducho-wieństwo naturalnie nie mogło brać w tym obchodzie udziału Ale

miasto właściwej w tak smutnym obchodzie skromności, ostentacją chcieiano właśnie, jakby jeszcze uwydatnić ten brak duchowieństwa, obrzędów i śpiewów katolickich. Nie można się też dziwić, że lud uczul się nader zgorzonym tą właśnie świetnością, tą demonstracją wprost przeciwko nieśmiertelności duszy, czuć było od otaczających tę trumnę czarnym kirem przybraną, że składają hold ciału, znieważając ducha zmarłego, bo przecząc jego odzyciu

Do demonstracji w pewnym negacyjnym kierunku zawsze są gotowe żywioly: kilka stowarzyszeń, jak ochotnicza straż ogniowa, lubiąca przy każdej sposobności pokazać swe nowe chelmy, a której dyrekcyja w wilią śmierci zamianowała Gilewskiego protektorem stowarzyszenia, aby mieć asumpt do wystąpienia przy pogrzebie. Nie dziwimy się również młodzieży medycznego wydziału, która przejęta zasadami materjalizmu tak pochopnie przystąpiła do adresu döllingerowskiego, że teraz użyla zgonu swego dziekana dla szeregu demonstracji. Jeden z uczniów tego wydziału niósł przed trumną krzyż, ale krzyż bez Chrystusa, podobno sfabrykowany w klinice. Po co i na co krzyż bez Chrystusa, on tylko z wizerunkiem Boga ukrzyżowanego jest godłem chrześcijaństwa, sam nie jest niczem innym, tylko znakiem kary i męki, jak szubienica lub kolo.

W pogrzebie brała bardzo liczny udział wojskowość, w której gronie przeważnie żył zmarły. Ale co nas i ludność Krakowa jedynie gorszyło, to zachowanie się uniwersytetu i grona jego profesorów przy tej smutnej wyprawie. Odprowadzić kolegę zmarłego na miejsce wiecznego spoczynku, bez względu na jego wyznanie i przekonania religijne, to rzecz słuszną i chrześcijańską. Ale jest rzeczą całkiem odmienną brać udział w pochodzie pogrzebowym, a brać udział w demonstracji antireligijnej i to w sposób zdradzający zupełną uległość agitacji ulicznej.

Tegoroczny rektor uniwersytetu dr. Józef Kremer, który tak piękną, pełną chrześcijańskich i katolickich zasad, ojcowskich przestróg mową rozpoczął swoją władzę, całem swoim postępowaniem tegorocznem dowodzi, że ta mowa była tylko retorycznym popisem, lub wyznaniem przekonań, do których zastosować się w czynach brak mu siły. Wiadomem jest, że w sprawie adresu do Döllingera nie zdobył się ani rektor, ani senat na jawne zamanifestowanie swoich przekonań. P. Rektor uznał za rzecz ubliżającą godności swego urzędu, odpowiedzieć na poważny głos czcigodnego obywatela, męczennika sprawy narodowej Piotra hr. Moszyńskiego. Jakkolwiek miał wystąpić z naganą osobistą do autora adresu, to wszelako wystawiona na publiczne zgorzsenie młodzież przez jednego z profesorów, ze strony rektora i senatu nie otrzymała żadnej przestrogi, żadnej wskazówki, żadnego zadośćuczynienia

Jako zadośćuczynienie za adres do Döllingera poruszano myśl adresu do Ojca św. od uniwersytetu z okazji jubileuszu, ale myśl ta znów w skutek braku stanowczości nie została przeprowadzoną, a uniwersytet nie wystąpił z aktem, który go nie mógł narazić na odpo-

wiedzialność przed kimkolwiek, tylko wielu profesorów podpisało zbiorowy adres, ale jako indywiduala.

Lecz ci co uważali za ublżenie swojej godności, odpowiedzieć hr. Moszyńskiemu — nie uważali za ublżenie, uleż przed parciem jednej frakcyi młodzieży uniwersyteckiej z okazji pogrzebu. P. rektor zaprosił urzędownie wszystkich profesorów i całą młodzież uniwersytecką na tę demonstracyę solidaryzmu i bezwyznaniowości. Smutno wspomnieć, że kiedy na pogrzebie Z. A. Helcla, który będzie wiekopomną sławą akademii jagiellońskiej, zaledwie kilku zebralo się profesorów, a wcale nie bylo młodzieży uniwersyteckiej — na pogrzeb prof. Gilewskiego, który nawet pod wzgledem naukowym nie zostawil nic, coby świadczylo o jego wiedzy, uniwersytet wystapil z godłami, profesorowie w czarnych frakach — a rektor z jednym z dziekanów niósł kutas od calunu — w czem właśnie demonstracyjny charakter obchodu byl uwidoczniiony. Kutasy od calunu zupełnie jak na owym pogrzebie Kazimierza Wgo, którym starano się otworzyć epokę demonstracyj politycznych. Powie nam kto, że Helcel jakkolwiek był wielką naukową i narodową powagą, był tylko chwilowo profesorem i umarł, dawno już będąc przez rząd z katedry usuniętym, a że Gilewski był profesorem czynnym i dziekanem, że przeto formalizm urzędowy wymagal tego udziału uniwersytetu. Ależ niedawno temu został zamordowany profesor już wcale o ultramontanizm jak Helcel nie podejrzany, profesor od lat 18 pełniący obowiązki, którego imię całej Europie w świecie naukowym znane — a jednak za trumną Zeischnera postępowało ośmiu tylko profesorów, osobistych przyjaciół, młodzieży rektor nie wezwał ani godeł nie kazal nieść — a za trumną Gilewskiego uniwersytet *in corpore*, z insygniami, godłami i rektorem na czele niosącym kutasy calunu! Nie, to nie obowiązek urzędowy, to powiedzmy prawdę proste tchórzostwo. Obowiązku swego nie dopełnił uniwersytet ani w obec trumny Helcla, ani w obec trumny Zeischnera, choć obaj byli świecznikami starej, narodowej szkoły — tutaj dał on się tylko popchnąć agitacyi ulicznej...

Mamyż jeszcze wspomnieć, że inny mąż poważny, naukowy, domniemany prezes przyszłej Akademii polskiej uznał za stosowne mieć mowę na tym obchodzie niedowiarków, czyliż przyszły przywódca Akademii, która ma zjednoczyć wszystkie siły naukowe Polski, chciał w ten sposób zapewnić tej instytucyi charakter bezwyznaniowy? Czy p. Majer tę demonstracyę solidarystów krakowskich tem więcej upodobnić pragnął do pogrzebu p. *Saint-Boeuf*, że w zastępstwie nieobecnych księży akademicy przemawiają nad trumną. Nie wiemy, co powiedział p. Majer o zmarłym, o którym ani ze stanowiska naukowego, ani narodowego wiele powiedzić się nie dało. Slyszełiśmy obrońców p. Majera, którzy tłumaczyli jego wystąpienie, powagę tego męża na tak wielki szwank wystawiające, że prezes towarzystwa naukowego przemawiał jedynie w celu, aby inni nie zabierali głosu i nie rozdrażniali umysłów. Znany tę wymówkę małoduszności politycznej, przy każdej ona powtarza się sposobności, przy pomina ona tę anegdotę o lekarzu obłąkanych, który swoim pacjentom

wybijał oczy z przeczności, aby w napadzie furji oni sami sobie ich nie wylupili.

Boleśno nam było wypowiedzieć to szczere zdanie o zachowaniu się ludzi poważnych, repre-entujących najstarszą szkołę polską, będących świecznikami nauki, którzy nie jednokrotnie utyskują na antireligijne tendencje, na przewrót pojęć u młodzieży — a sami tak gorszący dają przykład, i przez trwożliwość i brak hartu dają się prowadzić i popychać pierwszym lepszym podmuchaem żakowskiej agitacyi. Nie można się też dziwić, że w obec takiej chwiejności powag uniwersyteckich młodzież się balamuci, że zechce przewodzić i rozkazywać, kiedy do jej kaprysów i usposobień tak powolnie naginają się kierownicy uniwersytetu.

Jakżeż się dziwić, że podniesiono myśl pomnika dla Gilewskiego, pomnika z składek narodowych? Jeżeli przyjdzie do skutku, co zresztą nader latwem — pomnik ten będzie zagadką dla przyszłych pokoleń nieświadomych naukowych lub narodowych zasług profesora, pomnikiem zaszczyczonego.

Skorośmy się już rozpisali o uniwersytecie i dotknęli tyle bolesnych szczegółów — wspomnieć winniśmy, że profesor Girtler, o którego wykładach już dawniej pisaliśmy, nie poprzestaje swych tendencyjnych wycieczek, a teraz nie tylko katolicyzm, ale chrześcijaństwo atakuje. Wykłady jego są popisem z wszystkich wymysłów przeciwko wierze, stara on się systematycznie wszczepiać w młodem pokoleniu nie obojętność ale nienawiść do Kościoła i religii. Na wykładach 19 i 20 czerwca wziął sobie za zadanie rehabilitację Juliana Apostaty. Powiedział: że Jezus był dopiero uznany za Boga na soborze w Nicei. Twierdził, że zamiast chrześcijaństwa, które zwyciężyło przez barbarzyńskie ludy, byłby się rozwinął judaizm w Rzymie. Zgola ile nieprawdy, bluźnierstw, tyle i bezsensów — a to wszystko ma się nazywać wykładem prywatnego prawa niemieckiego. Oczywiście znaczna część słuchaczy idzie za zdaniem prelegenta, ale część poważniejsza i rozumniejsza, gdyby nawet nie z religijnych, to z naukowych względów jest oburzona na ten szarlatanizm wiedeńskiego profesora.

Pragnąłbym był kronikę moją dzisiejszą poświęcić tylko uroczym wspomnieniom obchodów jubileuszowych, mówić wam o prostej a gorącej wierze ludu naszego, o katolickim charakterze naszego miasta tak świetnie stwierdzonym — a musiałem dotknąć ujemnych stron i bolesnych ran. Lecz tu niema w dzisiejszych czasach dla katolików pociechy bez goryczy.

J. G.

Korespondencje „Przeglądu“.

Rzym, 22 lipca.

Nie ma tego złego, coby na lepsze nie wyszło — mawiali starzy i wielką w tych słowach prawdę zawarli. Cioż zadany Rzymowi obudził z uśpienia katolików na całym świecie, a ruchu podobnego jak dzisiaj nie pamiętają nigdy roczniki kościelne. U nas w Polsce, sądząc tylko z gazet mających być jakoby

odbiciem usposobienia kraju, zdawało się z małemi zastrzeżeniami, że *la Pologne est en arrière du mouvement*. Nie dziw. Gazety liberalne za skinieniem rószczyki Arcykapłana Drezdeńskiego siliły się u Polaków wyiębić przywiązanie do Stolicy Apostolskiej, Marszałkowie w Poznaniu i Krakowie, autorowie paszkwilów o Barbarze Ubryk i obrońcy döllingeryanizmu, wysnuwali skrzętnie każdą myśl redaktora Tygodnia, rzucającego się fanatycznie przeciw objawom katolickim w naszym kraju. Głos brzuchomowcy przychodził w pomoc z razu bezimiennie, a teraz postępując z wiekiem, odważył odstąpić swą maseczkę i podpisać swoje nazwisko. Pomyślność rewolucyi włoskiej skrzywiła pojęcie niejednemu z owych Apostołów, a spodziewając się, że tą drogą i Polska wydzwignie się z upadku, tłumaczą i wmawiają w siebie i w innych, że sympatya dla Rzymu jest zbrodnią narodową i że Papieża obdrzeć z jego własności to nie grzech wcale.

Nie chcemy znać tej wilczej argumentacji, -- postępowanie tych panów jest nierozumne i niepatryotyczne, bo sprzeciwia się sprawiedliwości i tradycyjnej naszej wierności dla Kościoła, ciągnącej się jako nić czerwona przez długie pasmo naszej przeszłości dziejowej.

Rozpasanie się żywiołu ruchliwego w ostatnich czasach i wysunięcie pazurków z pod płaszcza postępowego stało się bodźcem dla ludzi zacnych i znanych w kraju z cnót obywatelskich do zbiorowego wystąpienia w obronie praw Ojca świętego i do złożenia u stóp jego wyrazu uczuć, jakimi prawdziwy Polak jest przepełniony.

Dnia 16 b. m. widzieliśmy delegacye z dwóch dzielnic Polski tj. z Poznańskiego i z Galicyi. Zbieranie podpisów, jak wiadomo, pręcej rozpoczęło się w Wielkopolsce i mimo pewnych trudności zebrało się podpisów 5 tomów piętnie oprawnych. Sam adres w łacińskim i polskim języku ułożony, osobno jest oprawiony w czerwony aksamit z bogatemi brzegami. Ilość podpisów dochodzi do 232.754, z których 20.000 nadesłała diecezyna Chełmińska; z jednej wsi podpisano własną krwią na oznaczenie, że są gotowi krew przelać w obronie wiary świętej. Galicya także w krótkim czasie stosunkowo bardzo wiele zebrała podpisów na adres do Ojca świętego i na osobną zdobyła się deputacyą za co jej cześć niech będzie należna. Trzeba wiedzieć, że rzymskie gazety katolickie kilkakrotnie podnosiły przybycie deputacyi polskiej i chociaż nie można od nich wymagać, aby znały dokładnie osobistości, jakie w niej wzięły udział, jednak historyczne nazwiska Czartoryskich, Lubomirskich, Radziwiłłów, Potockich itd. były dla nich bardzo pociągające. To też *Osservatore*, *Voce della Verità*, *Stella*, *Correspondence*, z wielką czcią o tych osobach wspominają. Dzienniki atoli rewolucyjne jak *Capitale* *Tribuno* żyły na nią a mizerota *Fonfulla* nie mogąc inaczej jej dopiec, wydrukował ich nazwiska porządkiem i dodaje, że tego żaden człowiek wymówić nie zdoła, chyba „pies potrafiłby wyszczekać”. Dowcip prawdziwie piemoncki!

Audyencyą udzielił Ojciec święty deputacyi polskiej d. 17, w której skład wchodziły następujące osoby:

Z Wielkopolski
 Józef Morawski, prezydent
 Stan. Chłapowski
 Książę Aug. Sułkowski

z Galicyi
 Książę Jerzy Lubomirski
 Dziekan Knysz z pod Oświęcimia
 Jan Popiel, obrońca Ankony

Hr. Zyg. Skorzewski
 Józef Żychliński
 Karol Koczorowski
 Hr. Marcelli Żółtowski
 Książę Roman Czartoryski
 Książd Edmund książę Radziwiłł,
 wikary z Ostrowa

Józef Popiel, autor pięknych listów
 z Kairu i z Palermo do Czasu.
 Hr. Stan. Potocki
 Hr. Czapski
 Ks. Antoni Radziewski
 i t. d.

P. Józef Morawski z przejęciem się, wygłosił piękną łaciną napisany adres, a Ojciec święty wszedłszy w jego całkowite znaczenie, odpowiedzieć raczył słowy, które mniej więcej dosłownie w przełożeniu na pamiętkę podać możemy:

„Drodzy moi Synowie. Tak samo jak wy przyszlście do tronu apostolskiego aby złożyć swe życzenia, ze wszystkich stron całego świata przybywają liczne deputacye, aby uczcić Głowę Kościoła podczas tego niezwykłego jubileuszu. A ja, jako Ojciec wspólny, cieszę się z całego serca, i z całej duszy mojej i do głębi wzruszony jak wszystkich błogosławię, takżę błogosławię wam i światu całemu. Przedłożę życzenia wasze i modły wasze przed tron Zbawiciela, ażeby w tych ciężkich służbach Kościoła i Stolicę Apostolską świętego Piotra wyzwolił raczył.“

„Chociaż kocham świat cały, jednakowż błogosławię szczególniej waszym współrodakom, Ojczyźnie waszej a mianowicie dyecezyi Poznańskiej z powodu adresu, do którego dołączyły się inne dyecezye. Błogosławię nie tylko wam, ale wszystkim waszej rodziny przyjaciółom, znajomym. Błogosławię z całego serca waszym żonom, synom (a spoglądając na księży) waszym cwieczkom i parafiom. Błogosławię na dziś, na jutro, na zawsze, na całą przyszłość, na całe wasze życie. Błogosławię wam w imię Ojca i Syna i Ducha świętego. *Benedictio Dei etc.*“

Nadmienić tu winienem, że deputacya nasza miała mieć posłuchanie razem z niemiecką w jednej sali; łaskawości Ojca świętego przypisać należy, że ją przywołano do osobnej sali tronowej. Po powyższej przemowie Ojca Św. kazał im powstać, co takżę się zwykle nie dzieje, i przemawiając głosem familijnym: „Moi drodzy, wybijają medale, przybywają deputacye, narody protestują, cały świat katolicki wzruszony. A mimo to, nic się jeszcze nie zmieniło w naszym położeniu, nic pewnego dotychczas nie mamy. Stan podobny atoli zawsze tak trwać nie będzie; nie zmieni się może, ani dziś, ani jutro, ale się zmieni. Trzeba być spokojnym. Bóg pozwolił, abym ani chwili nie stracił ufności; owszem powiem wam, że to co mnie dotknęło, jest dla mnie kotwicą przy szłości. A teraz, moi drodzy, dam wam na pamiętkę medal, który rzymscy patrycyusze wczoraj mi ofiarowali. Bądźcie zdrowi moi drodzy, bądź zdrów przyzdecie.“

Wszyscy widocznie wzruszeni, pożegnali ze łąą w oku dobrego chrześcijan Ojca wzbudzającego przykładem swym i słowem, siłę i otuchę. Świętopiętrze zebrane przez ks. Prymasa Ledóchowskiego wraz z datkami galicyjskimi miało wynosić około 50.000 franków. Dwóch deputowanych galicyjskich wystąpiło w ustroju narodowym tj. książę Lubomirski i pan Potocki. Za czasów papieżkich kostiumy narodowe węgierskie, polskie, hiszpańskie nikogo nie raziły, dzisiejszych zaś panów mocno kole w oczy i na szczęście, że nasi deputaci nie wychylali się z doróżek, bo kto wie czyby jaki kwesturyn nie uznał za

stósowne, zaaresztować ich jak się to stało z Hiszpanami z hr. Maceda, grandem i rzeczywistym deputowanym do dzisiejszych Kortezów w Hiszpanii i markizem z domu Pizarro, należącymi do deputacyi katolickiej hiszpańskiej. Kiedy się udawali o 11 przed południem do mieszkania swoich towarzyszy przybrani w strój narodowy z dekoracyami i orderami królowej Izabelli i Karola III, dwóch policyantów zdaje się ujrzało w tych dekoracych zamach na narodowość włoską, dla tego przybliżywszy się, brutalnie zażądali, by bezzwłocznie zdjęli drażniące dekoracye, grożąc zarazem, że jeżeli sami tego dobrowolnie nie zrobią, siłą im odbiorą. Na nic się przydały wszelkie protestacye, tłumaczenia — zdjąć musieli zakłócające spokój jednej Italii dekoracye. Obaj szanowni deputowani podali skargę do ambasady hiszpańskiej, ale czy satysfakcją odbiorą, jest wielkie pytanie

W niedzielę 18 b. m. cała nieomal deputacya polska w Rzymie była sproszona przez O. Rektora kolegium polskiego na obiad, w ciągu którego rozmaite wznoszono toasty szczerze, pełne ciepła i wiary. Rozumie się, że komuniści lwowscy lub poznańscy krzyczeń będą w niebogłose na tę harmonią deputatów z OO. Zmartwychwstańcami, a może nawet wykryją jakie akta spisku przeciw Polsce, Kościołowi, na korzyść panowania... ale już dla nas nic nowego nie potrzebują wymyślać; świat wie jacy niegodziwcy są Jezuici i Zmartwychwstańcy. Wszystkie grzechy i zbrodnie od początku świata i grzechu pierworodnego, aż do śmierci pana Gilewskiego, to wszystko dziełem nieszczęsnych Jezuitów lub Zmartwychwstańców.

Dziś wszyscy prawie deputaci Rzym opuszczają. Agent moskiewski bawiący tutaj w Rzymie wkręcił się podczas przyjmowania różnych deputacyj na audyencyę do Watykanu, aby potem głosić po gazetach rewolucyjnych włoskich, że u Papieża był na audyencyi. Pan Kapusta (bo tak się nazywa) użył sposobiku niegodnego, charakteryzującego całą politykę rosyjską, per fas et nefas, byle dojść do celu. *Gazzetta d' Italia*, w której odzywają się czasem brzuchomowcze głosy, jakoby z Poznania, a tymczasem z bardzo bliska, także podaje jako fakt, że Ojciec Święty przyjmował Kapustę urzędownie, co jest fałszem.

JUBILEUSZ OJCA ŚWIĘTEGO

w Ziemiach Polskich.

Za czasów Rzeczypospolitej jaśniał zawsze Polak wśród katolickich ludów głęboką wiarą swoją i synowską uległością dla Stolicy Piotrowej. W obronie Kościoła dobywał szabli i biegł ochoczo na pola Warny, Chocima, Smoleńska i Wiednia, zdobywać na wrogach wiary i ojczyzny sztandary i łupy, aby je składać później u stóp Najwyższych pasterzy. Z rozgłosem wiary rozchodziła się po całym świecie chwała i sława imienia polskiego. Dziś, kiedy z dawnej świetności odarła nas przemoc i niewolnicze na karki nasze nałożyła pęta, jedyna po ojcach pozostała nam spuścizna, to wiara... Katolicka Polska okupuje ją przesładowaniem — ofiarą życia, więzieniem biskupów, kapłanów — wygnaniem swojej dziatwy. A ta jej wierność wierze ojców swoich, przechowuje wśród wszystkich chrześcijańskich ludów dawną sławę polskiego imienia. Od niej wreszcie przyszłość cała zawisła. To też każde serce polskie radować się po-

winno na widok tego religijnego wybuchu uczucia jaki w dwóch dzielnicach dawnej Polski w majestatycznym przedstawił się świetle. Przywiązanie do Głowy Kościoła wszystkie warstwy narodu w harmonijną połączyło jedność. W chwili, kiedy dostojni wysłańcy nasi składali Ojcu chrześcijan gorące życzenia od całego narodu — kościoły nasze zapełniły się ludem. Miasta i wioski zapłonęły od rzęsistego światła. Wymowne to świadectwo o katolickich uczuciach polskiego narodu. Stwierdzają je przytem przeszło pięććroć sto tysięcy podpisów w tak krótkim czasie na przedce zebranych. Pół miliona ludu daje mandat starszym braciom swoim, z krwi, cnoty i wiary, potomkom dawnej polskiej szlachty, aby ci w obec całego świata świadczyli o wierze naszej, o naszym przywiązaniu do Stolicy Piotra i sztandar polskiej chwały w obec licznych narodów na Piotrowej zatknęli opoche. — Cześć tym co narodowej wierni są przeszłości! Cześć co Kościołowi wierni! Cześć Ci ludzie polski — cześć wam wysłańce nasi!

Niepodobieństwem byłoby jednak przytaczać szczegółowe zewsząd opisy jubileuszowego u nas obchodu -- podamy zaledwie kilka z miejsc główniejszych tak jak je opisały nasze dzienniki. A uciekamy się do dzienników rozmaitej co do zasad barwy, aby tem wymowniejszy złożyć dowód, że koteryą w narodzie są ci tylko, co przeciw Kościołowi dziś powstawać zwykli. Zacznijmy od miasta co taką liczbę świętych, bohaterów i uczonych narodowi wydało — od serca Polski, starożytnej Jagiellonów stolicy.

Kraków, 17 czerwca. Wczorajszy obchód 25-cio letniego jubileuszu panowania Piusa IX. był bardzo świetnym i wspaniałym, a to osobiwie przez udział mieszkańców tak na nabożeństwach, jak wieczorem w oświetlaniu mieszkań. Obchód ten był, rzec można, powszechnym, bo nieliczne jego wyjątki służyły właśnie jakby na dowód, że był dobrowolnym i nie obowiązywał innowierców. Wyjąwszy gmachów i lokali publicznych, niemal wszystkie domy prywatne rześistem jaśniały światłem tak w samem mieście jak po najodleglejszych zakątkach przedmieść, gdziekolwiek mieszkają katolicy. Niektóre kościoły przybrane były w godła, przezrocza, napisy i różnobarwne lampy.

Oprócz nabożeństwa porannego odbywały się nabożeństwa wieczorne. Z kościoła maryackiego rześiście oświeconego wewnątrz, wyszła przy odgłosie dzwonów procesya ze światłem i chorągwiami, i obesła kościół do koła; następnie zaś illuminowano zewnątrz kruchtę kościelną z wszystkimi jej architektonicznymi ozdobami i kopułą aż pod dach kościelny sięgającą. Trzy wejścia do tej kruchty były ozdobione napisami z pisma św. w przezroczu, a po nad nimi herb familijny Papieża. Na kościele dominikańskim przybrany był pod szczyt wieńcami, powiewała chorągiew o barwach państwa kościelnego, a całe olbrzymie okno chóru zasłonięte było przezroczem wyobrażającym postać Piusa IX; po obu zaś stronach wielkie koła ogniste jaśniały. Późnym wieczorem spalono ognie bengalskie. Kościół św. Floryana na Kleparzu oświetlony był wraz z wieżami lampami różnobarwnymi oraz kagańcami, które płonęły żółtem i czerwonym światłem. Z wież powiewały chorągwie a nade drzwiami przezrocze z napisem. Bardzo zdobnie przybrany był lampami kościół św. Jana, bo illuminacja tworzyła linie architektoniczne, a pośród nich przezrocze pędzla znanego malarza religijnego p. Izydora Jabłońskiego, stanowiące allegoryczny obraz. Nad klęczącym i modlącym się Ojcem św. unosi się

anioł z koroną cierniową w ręku, by uwieńczyć skronie starca, gdy z drugiej strony anioł niesie tablicę z napisem: *non praevalerunt*. U spodu chłopiec w krakusce trzyma tablicę z napisem „wierzymy“. Oświetlony był także wstęp do kościoła Franciszkanów, a przed kościołem św. Piotra paliły się lampy. Kościół Jezuitów rzeźbiście był długo w noc oświetlony. Również illuminowany był klasztor Felicjanek na Smoleńsku o wśród Kazimierza starożytny kościół Bożego Ciała świecił zdala wierzą ognistą. Z prywatnych illuminacyj wyróżnić musimy przedewszystkiem wielkie przezrocze w księgarni P. Jaworskiego, zajmujące całe okno i bardzo czysto wykonane.

(Czas)

Tarnów, 18 czerwca wieczór. Dziś w niedzielę obchodzono tu 25-letnią rocznicę papieżstwa Piusa IX. Wystrzały moździerzowe grzmiały od rana do południa. W kościele katedralnym odprawiono uroczyste nabożeństwo. Illuminacja odbyła się w największym spokoju i ciszy. Wszystkie domy tak chrześcijan jak niechrześcijan były oświetlone, a ciemnością odznaczało się tylko mieszkanie starosty przy ulicy krakowskiej. Na seminarium od kilku dni powiewała biało żółta chorągiew z napisem: *pro vobis*: a przy illuminacji w transparencie wyrazy: *Pio IX* Patrole strzelców i żandarmów z bagnietami krążyły po mieście. Na domu ochronki wystawiono w transparencie herb papieski i napis: „Niech żyje Pius IX!“

(Czas)

Przemysł. Alumni seminarium 16 zaraz czerwca, (przyozdobiwszy poprzednio kaplicę swoją wieńcami i festonami z dębowych liści, wpsród których umieścili portret papieżki), przystępowali z rana do komunii świętej na intencją Ojca św. Dostojny i niezmordowany w apostołskich pracach swoich ksiądz Biskup miał do nich piękną bardzo przemowę. „Raduje się dusza moja (mówił czcigodny Pasterz) na widok synowskiej waszej miłości ku Najświętszemu Chrystusowemu, któremu Najwyższy dozwolił na Stolicy Piotrowej dożyć lat Piotrowych. Dowód to jasny, że miłując Ojca św., obejmujecie miłością swoją Matkę naszą Kościół Chrystusowy, gdyż *ubi Petrus, ibi Ecclesia*.“ Następnie wspominał, że miłość ta do Kościoła osładzać im będzie wszystkie przykrości, z jakimi w sprawowaniu kapłańskiego urzędu spotykać się przychodzi i dodawać siły wśród największych przeciwności. Dalej mówił o Ojcu świętym, który dla tego, że jest samą dobrocią, łaskawością i miłością, postępuje drogą ciernistą wśród upału tego życia. „Zrabowany, odarty, szyderstwami napawany, więziony za sprawiedliwość, za tyle błogosławieństw i poświęceń swoich! I was czeka podobna droga i doświadczenia, bo jeśli uderzają na Głowę i na Pasterza, nie oszczędzą członków ciała, nie przepuszczą owieczkom. Ale patrzcie jaki spokój majestatyczny opromienia tego Starca św., patrzcie jak w obec duchowej siły Jego, którą namaszcza Pan z wysokości, drżą wrogowie Jego i niepokoją się mimo władzy materialną siłą popartej. Oni truchleją, a bezbronny i słaby u świata, bezpiecznym się czuje, bo wierzy w obietnice Pańskie, bo się opiera na tym, któremu aniołowie i ziemia śpiewają: Święty, Święty Pan Zastępów.“ Potem odprawił ksiądz biskup mszę świętą, podczas której wszyscy komuniją św. z rąk jego przyjęli.

W niedzielę zaś 18 czerwca rano „za pierwszym uderzeniem dzwonu na Anioł Pański, odezwały się salwy moździerzowe, za staraniem naczelnika miasta, a w kościołach obłożone były konfesyonały.

Przed 10-tą rozpoczął ks. biskup celebrawę, na którą przybyli reprezentanci

miasta z naczelnikiem i młodzież niższych szkół. Kazanie świetne i głębokich poglądów pełne, miał ks. Dr. Pelczar.

Po skończonem nabożeństwie przyjmował dostojny Pasterz krom duchowieństwa i różnych osób, od całej Rady miejskiej życzenia dla Ojca świętego. Pan Łobaczewski, naczelnik miasta w imieniu Rady wypowiedział je w pięknej następującej mowie:

„Świat cały obchodzi z najwyższą radością dwudziestopięcioletnią rocznicę rządów Ojca św. Piusa IX, faktu pierwszego w historii świata po pierwszym Apostole św. Piotrze, a zrządzzonego wyraźną łaską Opatrzności dla dobra Kościoła i wiernych ludów Jego.

Miasto Przemysł przyłącza się całym sercem do tego obchodu, a Rada gminna idąc za popędem tego serca, uchwaliła jednomyślnie korzystać z tej sposobności, by objawić uczucia, jakie ma dla Kościoła świętego i dzisiejszej Głowy Jego.

Otóż spełniając to najmiłsze nam polecenie, pospieszamy tutaj, by imieniem miasta Przemysła wyrazić naszą niezmierną radość z faktu tak cudownego, najwyższą wdzięczność dla Stwórcy wszechświata za łaskę tak widoczną, niezachwianą wierność i uległość Kościołowi św., najgłębszą cześć, przywiązanie i posłuszeństwo Stolicy Apostolskiej, a nareszcie życzenia z głębi duszy się wyrwyjące: oby ten sam Stwórca wszechwładny panującego nam od lat dwudziestu pięciu Ojca świętego, w najdłuższe zachował lata! oby Kościół św. opieką swoją przed każdą burzą zawsze osłaniał, a nieprzyjaciół Jego zwalczyć i upokorzyć dozwolił.

Te wyrazy i prośby my Polacy w szczególności ciągle powtarzać będziemy, bo właśnie Polska była i pragnie być zawsze najlepszą córą Kościoła św., bo gdy inni mocarze tego świata rozdierali, szarpali, gnietli ją i gnębili — ona ze łąz i boleścią u Stolicy św. zawsze przychylnie znajdowała ucho, zawsze współczucie i przyjaźną opiekę.

Uczucia te składamy najunizieniej w ręce Waszej Biskupiej Mości z najpokorniejszą prośbą, byś je u stóp tronu Apostolskiego złożyć raczył“

Wieczorem z uderzeniem dzwonu na Anioł Pański, zaczęła się iluminacya. Najprzód zajaśniały wszystkie okna pałacu biskupiego i seminarjum, a wnet całe miasto oświeciło się. Po uliczkach dalszych części miasta migotały się światełka w oknach, i budka przy łazienkach dwiema świecami jakby ciekawie dziecko wpatrywała się w zwierciadło poważnego, Sanu Klerycy oświetlili seminarjum, w którego 2 oknach jaśniały przezrocza. W pierwszym przedstawiony był Ojciec św. z napisem: „Ty jesteś opoka, a na tej opoce zbuduję Kościół mój.“ W drugim był napis: „Ojcu św. Piusowi IX, Namiestnikowi Chrystusa Pana, nieomylnemu, klerycy zjednoczeni w radości Kościoła powszechnego w 25-letnią rocznicę panowania JEGO na stolicy Piotrowej, składają cześć synowską i życzenia.“

(Według koresp. Przem. w Unii)

Bochnia, 19 czerwca. W czoraj odprawio się w tutejszym kościele parafialnym solenne nabożeństwo z powodu obchodu 25-cio letniej rocznicy wstąpienia na stolicę św. Piotra, Piusa IX. Podczas nabożeństwa zbierano kwestę na rzecz Ojca św. Wieczór była iluminacya; oświetlono ładnie kościół i prawie wszystkie domy w rynku. Muzyka, po zwinięciu w tych dniach miejscowej salinarnej, z Królowki przybyła. grała przed mieszkaniem proboszcza i w rynku.

(Czas).

Z pod Leżajska, 19 czerwca. Wczoraj obchodzono w parafii Sarzynskiej 25-letnią rocznicę papieżstwa Jego Świątobliwości z taką solennością w kościele i po za kościołem, na jaką się niezbyt zamożna i mała parafia zdobyć mogła. Obok wielkiego ołtarza, przystrojonego zielenią i kwiatami, stał tron papieski pięknie przybrany z baldachimem niemal szczytu naawy sięgającym, a światłem do koła otoczony. Nad nim umieszczone popiersie Ojca św. w otoczeniu z kwiatów. Po kazaniu i sumie, odprawionej przez miejscowego proboszcza i prałata Śleczkowskiego, szambłana papieżkiego, wyruszyła wobec mnogiego z sąsiednich nawet parafij ludu, procesya, w której asystowali celebransowi X. Podgórski, proboszcz z Woli Zarczyckiej i X. Fleszar z Łętowni, którzy ukończywszy u siebie wcześniej nabożeństwo, dla uświetnienia uroczystości do Sarzyny przybyli. Obok księży szło 20 dziewcząt biało ubranych z wieńcami na głowie, i 20 młodzieńców w niebieskich żółtymi pasami obwiązanymi sukmanach, z kokardami barwy papieżkiej i świecami w rękach; większo parafian tutejszych, do towarzystwa Różańca żywego należących, niosła podobnie świece w ręku. Po nabożeństwie rannem i południowem, z podobną solennością odprawionem, samym wieczorem zajaśniało na ganku plebańskim popiersie Ojca św. kwiatami przystrojone od nielicznych świateł, a w kilkunastu oknach dość obszernej plebanii zabłysnęło rześiste światło. Cała prawie parafia zgromadziła się na dziedzińcu plebanii. Po odśpiewaniu kantaty na cześć Ojca św., śpiewano aż do północy różne pieśni kościelne, a po każdej zwrotce brzmiała kapela wiejska, od świtu zaś do późnej nocy strzelano z moździerzy.

Radość i zadowolenie malowały się na twarzach tutejszych parafian, do wiary świętej i Namiestnika Chrystusowego całą duszą przywiązanych. Huczne wiwaty: „Niech żyje najukochańszy nasz Ojciec święty, Pius IX.,” które wyrwały się bez niczyjgo natchnienia z ust ludu, zakończyły tę uroczystość.

Lud przez całe trzy dni zajmował się jak najskrętniej bez żadnej zapłaty strojeniem kościoła, dowozem potrzebnych materiałów i różnych przyborów, a panie tutejsze ręcznymi robotkami przyzdobiły ołtarze. (Czas.)

Żywiec, 20 czerwca. W niedzielę 18-go obchodzono solennie w Rychwałdzie, w diecezji Tarnowskiej, 20-letnią rocznicę papieżstwa Piusa IX. Już w sobotę wieczór obwieszczono ten obchód biciem z moździerzy przy odgłosie dzwonów i muzyki miejscowej, a lud skrzętnie i ochoczo przystrajał zielonością domy swoje. Nazajutrz o 7-ej rano, bito z moździerzy; lud zaś przy pobożnych śpiewach z obrazami i chorągwiami zgromadził się do świątyni poprzedzony kościelną muzyką. Podczas nabożeństwa tak rano jak po południu kościół jaśniał światłem, z którym także wystąpiły bractwa, a wieczorem umieszczono na przodzie kościoła przezrocze z napisem: „Niech żyje Ojciec święty Pius IX.” Dwie wysokie wieże kościoła, wszystkie okna plebanii i ustawione przed kościołem pochodnie, wydawały rześistą światłość, a puszczenie rac, salwy moździerzy, muzyka i głośne wiwaty przy pięknej pogodzie ożywiały wieczór i sprawiały wiele radości ludowi, który w uroczystości tej brał tak gorliwy udział. Widzieć bowiem było można oświetlenia i zielone bramy po wsiach przed domami, a jedną taką we wsi Łękawicy postawiono na publicznej drodze.

(Orgdownik.)

Kwilicz, 18 czerwca. W kościele naszym odbyło się w dniu dzisiejszym przy licznym udziale ludu uroczyste nabożeństwo z powodu jubileuszu 25-let-

niego pontyfikatu Ojca św. Piusa IX. Aby uświetnić tak wzniosłą pamiątkę, urządzono transparent po nad bramą kościelną. Górą była ozdobna tiara, pod nią na krzyż złożone klucze, spodem zaś różnokolorowy napis: „Niech żyje Pius IX.“ Nadmienić tu wypada, iż cały ustrój transparentu wykonał jeden z młodzieży tutejszej. Postarano się także o lampiony, a nawet nie zapomniano i o ogniach bengalskich. W kościele po nad amboną zawieszono obraz Papieża, obwiedzonego girlandą i wieczorem w czasie niesporów oświetlono; cała zaś świątynia przybrana była w zieleni.

Kościół tutejszy, choć w prawdzie nie figuruje zbyt wielkimi rozmiarami, ale że zawsze czysto i starannie utrzymywany tak zewnątrz jako i wewnątrz, miłe czyni wrażenie na każdym widzu. Cmentarz obwiedziony murem, a na cmentarzu są dwa odwieczne drzewa przed frontem kościoła: wszystko to razem przyjemniało wroczysty obchód dzisiejszy.

Po odprawieniu sobotnych niesporów, oświetlono transparent i cmentarz lampionami; od czasu do czasu palono ognie bengalskie, a młodzież ustawiona w szeregu na uboczu, dawała salwy z ręcznej broni; to samo powtórzono w niedzielę wieczorem. Tak w sobotę jak i w niedzielę po niesporach odśpiewano także kilka pieśni na cmentarzu przed figurą Matki Boskiej.

Na twarzach zgromadzonych widać było ogólne zadowolenie, pewną dumę w oku z wyrazem: zrobiliśmy to dla Ojca naszego świętego. (*Orędownik.*)

Chodzież, dnia 20 czerwca. Wprzeszłą niedzielę obchodziliśmy ową rzadką w świecie katolickim uroczystość w mieście naszym z wielką okazałością. Nie będę się tu rozpisywał o upiększeniu kościoła, powiem tylko krótko, iż za staraniem naszego ks. proboszcza umajono i przybrano go w korony i wieńce tak gustownie, jak może jeszcze nigdy. Śpiew podczas sumy na głosy wykonany, huk strażów z moździerzy, kółko strzelców naszych z bronią w rękę, tak na sumie jako i na niesporach się znajdujące, wszystko to, do tem większej przyczyniało się uroczystości. W wieży, dość znacznej wysokości, dwa wystawiono transparenta przedstawiające Ojca św. i herb jego, po nad niemi długa, koloru papieskiego powiewała chorągiew. Na wieczór przy tak pięknem powietrzu, aż trzy piętra wieży iluminowano. Lampiony różnych kształtów i kolorów, gęsto na wieży pozawieszane, nieomal do godziny 1-szej w nocy gorejące, przecudny przedstawiały oku widok. Śpiew na cześć Ojca świętego na 4 głosy męzkie rozlegał się po mieście dość późno w nocy. Katolicy wszyscy rzęsiszto iluminowali i najuboższy nie szczędził dziś grosza na świecę. (*Orędownik.*)

Zc Złotowa, 20 czerwca. Największą ozdobą miasta naszego jest borek, który je w odległości kilkuset kroków na zachód otacza. W borku tym odbywają się latem w cieniu dębów, brzoź i buków różne zabawy ludowe. Przeszłego tygodnia mieliśmy ich aż 3 t. j. 11 b. m. uroczystość strzelecką, dnia 16 czerwca uroczystość 25-letniej rocznicy panowania Ojca św., a dnia 18 niemiecki Friedensfest. O pierwszej jako też ostatniej rozpisywać się nie będę. odbyły się takową powszechnie znanym trybem, lecz uroczystość 25-letniej rocznicy panowania Ojca św. obchodziliśmy tak wspaniale, iżby się tego nawet żadne wielkie miasto powstydzic nie potrzebowало. Już 14 dni przedtem utworzył się komitet, składający się z księdza wikarego, nauczycieli i obywateli tak z miasta jako też i z wiosek, tylko jedna wieś tutejszej parafii Święte uchyliła się od niej. Uroczystość samą obchodzono w następujący sposób. Przed południem odprawiło się nabożeństwo kościelne, na którym ile możności każdy

Polak się znajdował; po popołudniu, około godziny 2 zgromadzono się około kościoła, a o godzinie 3 ruszono przy pięknej kapeli z miejsca do wyż wspomnianego borku. Najprzód szły dzieci szkółek parafialnych, niosąc chorągiewki w kolorach papieżskich, potem strzelcy w ubiorach strzeleckich, za tymi postępowały różne cechy z proporcami, prócz tego bardzo wiele innych ludzi. W borku poustawiali oberżyści polscy namioty, w których piwa, ciastek i różnych innych rzeczy dostać było można. Przybywszy w tak paradnym pochodzie na przeznaczone miejsce, przemówił ks. Kłoka w kilku słowach do zgromadzonych o znaczeniu tego dnia, zakończywszy mowę swą: Niech żyje Pius IX., co tysiące głosów powtórzyło. Teraz rozpoczęły się rozmaite towarzyskie zabawy dzieci i dorosłej młodzieży, przeplatane śpiewami. Cieszyło nas mianowicie, gdyśmy słyszeli z ust młodzieży naszej rzemieślniczej pienia czysto-narodowe, jak: „Ciężko ranny w boju chwały. Gdzie się podział ów wiek złoty. Bracia rocznica i t. d. Ubolewać tylko nam wypada, iż się do tego czasu nikt nie znalazł, ktoby podobne śpiewy zebrać i do śpiewania na cztery głosy męskie i mieszane ułożył. Działki częstowano piwem i bułkami. Chociaż tak wiele ludzi się było zgromadziło, jednakowoż ani jednego pijanego nie widziano i owszem jak najprzystajniej i jak najlepiej się bawiono. Po godzinie 9 wieczorem wracaliśmy w tym samym porządku, w którymśmy miasto opuścili, tylko upiększyliśmy nasz pochód kulką pochodniami i 30 lampionami; prześlicznie to wyglądało. Obszedłszy ulice miasta przy wesołej muzyce, rozeszli się wszyscy nader zadowolnieni do domów swoich. Domy polskie były rześcisto oświetlone, a na rynku palono beczki z smołą. Koszta muzyki, lampionów i t. d. pokryto z dobrowolnych składek, prócz tego zamówiono u malarza p. Lewickiego obraz Piusa IX., który świątynię naszą ma ozdobić.

(Orędownik.)

Z Gołubia, 20 czerwca. Już w czwartek dnia 15 z nadchodzącym wieczorem dzwon wielki swoim pięknym i półgodziunym miłym dźwiękiem, oznajmił mieszkańcom niezwykłą uroczystość dnia następnego, w którym już ze wschodem słońca przed wszystkimi domkami, gdzie tylko katolicy zamieszkują, drzewka w najpiękniejszej zieleni, jakby z pod ziemi wyrosły; okna uwieńczono kwiatami i wieńcami, wejścia z podwórza ubrano bramkami tryumfalnymi, słowem: wypędzono ze wszystkich nawet najmizerniejszych chat biedę, troski i kłopoty, a natomiast wstąpiły radość i tryumf ogólny. Kościół również odpowiednio przybrany w zielone drzewa, kwiaty i wieńce, czem się szczególnie młodzież nasza, a mianowicie dziewczęta zajmowały. Nabożeństwo solenne podniósł także piękny śpiew, który organista L. z młodzieżą urządził, a w końcu odśpiewano hymn na cześć Ojca świętego. Obywatele urządzili na górach kilka beczek od oleju skalnego, i kilkanaście rakiet różnobarwnych. W wieczór nastąpiła ogólna illuminacja. W najodleglejszych zakątkach, gdzie nigdy promień powszechnej radości się nie przedarł, widziano wszystkie okienka rześcisto oświetlone, nie tylko od frontu ale i w podwórkach, po górach, nawet w miejscach do pracy przeznaczonych, kuźniach i t. p. wszędzie jakoby głos podziemny ale zawsze jeszcze silny się odzywał: „i my tu jeszcze żyjemy i my zdolni jesteśmy jeszcze dorzucić cegiełkę do wspólnej budowy, ale że o nas dotąd zapomniano.“ Kościół także był jak najświetniej oświetlony; szczególnie uwieńczyło dzień ten oświetlenie wieży 24 lampionami w około, a głównie piękny śpiew na wieży, który nie ustał, aż około 11 godzin wieczorem.

(Orędownik.)

Chojnice, 17 czerwca Wspaniale i pięknie zeszło słońce i promieniami swemi zwiastowało całemu światu chrześcijańskiemu, że zawitał dzień 16 czerwca, dzień nam wszystkim tak pożądany, dzień, który w historii Kościoła katolickiego złotemi literami zostanie zapisany na wszystkie czasy. Czyżby serce nie miało się napełnić radością na wspomnienie owego już przeszło 70-letniego starca, który za szczególnem Opatrzności zrządzeniem pomiędzy tak wielką liczbą następców Chrystusa, oprócz jedynego Piotra św., 25 lat rządzi Kościołem katolickim. To też uroczystość owa nadzwyczajra solennie była u nas obchodzoną. Na odgłos dzwonów lud licznie się zgromadził w kościele, aby tu Stwórcy złożyć dziękczynienie za to, że Ojcu św. pozwolił dożyć dnia tak świętego. Na wieczór nieomal wszystkie domy katolickie przybrane w kwiaty i wienice zajaśniały rześnistymi ogniami. Mianowicie starannie był ozdobiony klasztor Sióstr miłosierdzia i dom państwa Koczorowskich. Najbardziej jednakowoż odznaczył się konwikt, tu bowiem cały dom nie tylko był wystrojony wieńcami, girlandami i innymi dekoracyami, ale i transparenta ze stóśownnemi napisami tak pięknie były wykonane, że nawet innowiercy podziwiali tak gorące przywiązanie katolików Polaków do Piusa IX. Około godziny 10 wieczór ks. dziekan przemówił do licznie zgromadzonego ludu, a kończąc mowę, zawołał: Niech żyje Pius IX! — które to słowa w tysiącu piersi po trzykroć zabrzmiały w wieczornej ciszy. Po odśpiewaniu kilku na tę świętą uroczystość ułożonych pieśni, każdy spokojnie udał się do domu. (Orędownik.)

Poznań 19 czerwca. Wczorajsza illuminacya z powodu 25-letniej rocznicy papieżstwa Ojca św. wypadła bardzo świetnie. Nie było, rzec można, polskiej duszy, któraby okien pomieszkania swego nie oświeciła, bo i w najbiędniejszych chatkach po kilka świec wystawiono. Na rynku figura św. Jana była pięknie przystrojona i lampkami oświecona; rześiste światła rozlewały jasność w oknach lokalu p. Pfitznera i na pierwszym piętrze w jego mieszkaniu; pałac hr. Działyńskich był wspaniale oświecony, na balkonie wystawiono piękny obraz Piusa IX. Zresztą na rynku, oprócz kilku tylko miejsc, całe kamienice były ciemne, tylko tu i owdzie spotkałeś jaśniejące świece — na poddaszach. Podobne wrażenie robiły inne większe ulice, jak Fryderykowska, Wilhelmowska, plac Wilhelmowski. Na rogu Nowej ulicy i Wilhelmowskiej biło rześiste światło z cukierni p. Sobeskiego. Więcej od poprzednich ulic była oświecona ulica Berlińska, w kilku domach powystawiano transparenta Ojca świętego. Na Młyńskiej ulicy świetnie był illuminowany i przystrojony zakład Sercanek. Na ulicy Śt. Marcińskiej na piętrach wyższych i w sklepikach pełno było świateł. W wielu oknach powystawiano w transparencie napisy: „Na cześć Ojca świętego.“ W zakładzie ks. Koźmiana, w szkole panien pani Estkowskiej było okno przy oknie oświecone. Dość rześisto i pięknie przystrojone były domy na Wielkich i Małych Garbarach, równie na św. Wojciechu.

Najwspanialsza illuminacya była na Chwaliszewie i Śródcie. Zdaje się, że mieszkańcy obu tych przedmieści chcieli zrobić przy tej sposobności demonstracyą, że są *arcypolską i arcycatolicką częścią* miasta naszego. Tu nie było domu, nie było okna, któregooby nie oświecono, nie było gzymsu, przystawki, do którejby nie zaczepiono kilka gorejących lampek. Mieszkańcy współubiegali się o lepsze, bo jeden dom był świetniej od drugiego illuminowany, a z taką wystawą, z takim przystrojeniem w zieleń, w korony, w popiersia Ojca świętego, w obrazy Świętych, że każde okno prawie na ołtarz zamieniono. Oświecono

nie tylko domy, ale nawet na płotach ponstawiano lampki; światło biło nie tylko z ulicy, ale i z odległych zakątków podwórz. To też nie dziwnego, że w tych prawie wyłącznie polskich częściach miasta naszego widziałeś rzesiste światła w składach innowierców jak n. p. Jakob Schlesinger Söhne i Kantorowicza na Ostrówku. Tu też ruch był nielada, tłumy ludu snuły się w tę i ową stronę i przypatrywały się gorejącemu Chwaliszewu i Śródcie. Około pół do dziesiątej palono przed tumem ognie bengalskie, dawano strzały z moździerza, a za każdym strzałem wznosił się okrzyk: *Wiwat, niech żyje Papież! Wiwat, niech żyje Polska!*

(*Orełdownik.*)

Toruń, 19 czerwca. W piątek, jako w dzień dwudziestopięcioletniej rocznicy wstąpienia na tron J. Ś. papieża Piusa IX, tutejsze Towarzystwo Piusa odbyło bardzo liczne zebranie na historycznej sali Artusowej, gdzie przed czterema wiekami, w r. 1466, podpisano pokój Toruński. W zebraniu wzięli udział członkowie z rodzinami oraz goście; sala była ozdobnie oświetlona, po śpiewie Jks. kapelan Schapke miał wykład stosowny do uroczystości, jeden z przytomnych członków wygłosił wiersz okolicznościowy, po czym znów nastąpiły śpiewy. Jedną mianowicie kompozytorką dawną „Memorare Virgo Maria“ tak była wdzięczna, że ją na powszechne żądanie Towarzystwo śpiewu św. Cecylii powtórzyło. Pytaliśmy się o autora kompozycji, ale nie mogliśmy się dowiedzieć, powiedziano nam tylko, że głosy żeńskie przerobiono na męskie. Gdyby tak być miało, przywrócono tylko zapewne formę pierwotną z dominującym tenorem; kompozytorka nadzwyczajnej rzetelności, zdaje nam się być włoską, może Don Manuela Astorgi, ale może też jest i płodem któregoś z zapomnianych naszych polskich dawnych kompozytorów, których styl zapewne się zbliżył do stylu ówczesnego włoskiego. Po wyczerpnięciu programu bawiono się poważnie rozmową i śpiewami do późnego wieczora. Okna sali Artusowej były świetnie illuminowane różnobarwnymi płomykami. (*Gazeta Toruńska.*)

Brodnica, 20 czerwca W piątek dnia 16 czerwca, jako w dzień dwudziesto-pięcioletniej rocznicy wstąpienia na tron J. Ś. papieża Piusa IX, obchodzili tutejsi katolicy mieszkańcy dzień ten solennie. Kościół był wewnątrz ozdobiony wieńcami i kwiatami. Przy prezbiterium stał na wysokich filarach wiankami i rzesistemi lampami oświetlony transparent z godłem papieskim i napisem winszującym. O 10 rozpoczęło się solenne nabożeństwo, z kazaniem przy wystawieniu przenaświętego Sakramentu. Na wieczór był cały kościół na wewnątrz i zewnątrz rzesisto oświetlony, czubek wieży był na okół lampami oświetlony, na czterech rogach lampiony kolorowe objaśnione, na każdym rogu od muru wieży były beczki z smołą zapalone, od strony rynku był transparent z godłem papieskim i napisem „Niech żyje Papież Pius IX.“ Nowo sprawiona chorągiew fioletowa i żółta powiewała na murze wieży, w końcu puszczono kilkanaście rakiet, które precudnie się udały. Nie tylko kościół ale i plebania, również i domy zamieszkałe przez katolików były rzesisto oświetlone, a niektóre transparentem, wieńcem i wywieszonymi dywanami ślicznie przyozdobione. — W niedzielę 18 czerwca solenne nabożeństwo, podczas którego dużo osób się komunikowało, a wieczorem była ogólna illuminacja. (*Gazeta Toruńska.*)

Inowrocław, 20 czerwca. Dnia 18 b. m. obchodzono także i tutaj ową drugą dopiero w szeregu 19 wieków uroczystość, 25-letnią rocznicę panowania papieskiego. Od dosyć dawna już sposobili księża nasi lud katolicki i zachęcali go do godnego uczczenia tak ważnej w świecie chrześcijańskim chwili. Byłem

w kościele, gdzie solenne zapowiadano nabożeństwo. I w rzeczy samej — nasza, do przesady nawet skromna i uboga świątynia jaśniała tysiącem świec gorejących po wszystkich zakątkach, a przed wielkim ołtarzem, wśród girland i kwiatów, śliczny urządono transparent. Nieszpory odczytał ks. dziekan Pankau a ks. Kałkowski powiedział piękną mowę, zachęcając w niej Polaków do modlitwy za starca Papieża, który wśród burz tyłu, okazał się wytrwałym sternikiem łódki Potrowej, który sam jeden w obec samolubnego świata o sprawiedliwość się upominał dla *nieszczęśliwej Polski*. Z serc pobożnego ludu nie jedno też wzniosło się przed tron Stwórcy błaganie o pomoc dla naszego jedynego na ziemi Rzecznika. Sam wzruszony wyszedłem z kościoła, by wszere i wzdłuż przebiegając miasto, przekonać się z oświeconych okien, ile jeszcze w nas serc bije dla Ojca św., czyli (co na jedno wyjdzie) przekonać się, jak liczną jest wiara nasza w stosunku do rozwielnionych wrogów naszych. Powróciłem z rozdartem sercem, bom poznał ze słabej iluminacji, że ginimy w zalewającej nas powodzi... O źle z nami!... pomyślałem; — źle z nami! piszę wam! (*Orełdownik*). (C. d. n.)

K r o n i k a.

Wśród ogólnie radośnych objawów katolickiego w narodzie naszym uczucia, jeden tylko Lwów obcym niemal temu wszystkiemu pozostał! Wszystkie siola i miasta, starożytne Przemysława i Jagiellonów stolice, przystroili się w gierlandy, przezrocza, i rześiste światła: jeden tylko Lwów na rozświetlonem tem tle, gdzie wszystkie warstwy narodu dwóch dzielnic dawnej Polski zbiegły się w harmonijną jedność — ciemnicą, zaledwie że niezupełną, zaznaczył obchód jubileuszowej rocznicy Najwierniejszego Polskiego Narodu Rzecznika! Miałooby więc być prawdą, co o Lwowie w całej Polsce mówią, że z uczuciami roztorturowanej i za wiarę knutowanej Polski nie ma już nic więcej krom mowy wspólnego? Nie, tak źle dzięki Bogu nie jest. Ogromna większość tutejszej ludności wierną pozostała i ojców swoich wierze, wierną Bogu i Ojczyźnie swojej — tylko, że ta większość bałamuconą jest i wyzyskiwaną przez pewną klasę ludzi, rwiących się do kierowania losami narodu — ludzi wykarminionych doktrynami rewolucyi, wychowanych na frykasach niemieckich, ludzi niepewnej lub żadnej wiary, trąbiących na cztery strony świata niestworzone rzeczy o cudach swojego rzekomego patryotyzmu. Tacy to ludzie rej tutaj wodzą i swoje *jubeo* lub *veto* wszystkim narzucają. O Polskę, która po dawnemu wierzy i za tę wiarę katusze znosi i przy sztandarze ojców swoich stoi, weale im nie idzie — jeżeli chcą Polski, to jedynie dla rychlejszego przeprowadzenia swoich doktryn — Polski na rewolucyjnej swawoli i nierządzie, głupim liberalizmie wzniezionej — pracują więc gorliwie, to przez tutejsze rewolucyjno-liberalne dziennikarstwo, to na zebraniach ludowych, odczytach, prelekcyach, aby wraz z wiarą wszelkie objawy katolickiego życia z kretesem zniwe-

żyć. Dla dogodzenia swojej fanatycznej do Kościoła nienawiści przed najniegodziwszymi środkami nigdy się nie wzdrygną, wszystko oni poświęcić gotowi.

W obec takiego stanu rzeczy nie dziwnego, że miasto Lwów odosobniło się niemal od całego narodu, a przynajmniej nie wzięło takiego udziału jak tego uczucie patriotyzmu, jeżeli już nie katolickie, od niego wymagało. Po wszystkie bowiem czasy, zawsze i wszędzie charakter narodu naszego zdobny był w szlachetną cnotę wdzięczności dla tych wszystkich, co mu kiedybądź dłoń swoją podali, lub gorącej przyjaźni złożyli dowody. Z tej cnoty zawsze bywał Polak znanym. Otóż u tych panów ta narodowa perła nie znalazła należytego ocenienia. Pod posiewem rewolucyjnych doktryn zmarniało polskie serce, i jeżeli nie skamieniało jeszcze zupełnie, to pozostały z niego same tylko strzępy. Na wyżynę narodowej cnoty podnieść się już ono nie zdolne. W jubileuszu też papieżkim, Piusa IX nawet jako Przyjaciela i Rzecznika Polski, we Lwowie ogólnie uczcić zapoznano. Co więcej — jeden z tutejszych dzienników, ten właśnie, co to niezbyt dawno przypominał nam karność narodową, w imię której od najświętszych obowiązków odbiegać polecał — ten sam z pod karbów istotnie narodowo-patriotycznej karności nie tylko że się w tak uroczystej chwili wylał, ale i niezawahał się aż w pięciu miejscach w jednym numerze ¹⁾ rzucić się na cześć Tego, któremu świat cały i cała Polska

¹⁾ Nr. 197 z 20 czerwca r. b.

Gazeta Narodowa ze zwykłą sobie cyniczną brawurą, zadała nam niedawno kłamstwo kiedyśmy mówili, że zbrodniarzy paryskiej komuny podnosiła, — ich czyny, ich niektóre najniegodziwsze pochwałała dekreta. Otóż, aby nam dzisiaj bezkarnie nie mogła zarzucić, że wypowiedziane przez nią słowa niewłaściwie i tendencyjnie tłómaczymy, przytaczamy *in extenso* kilka tylko ustępów, w których na świętą osobę Piusa IX rzuca kałem i obelgą — całemu narodowi kłam zadaje i najwyraźniej moskiewskiej schyzmie drogę u nas toruje. Tą razą już bez najmniejszej wystąpiła ona zenady, zrzuciła maskę kompletnie — wypowiedziała w najsprośniejszy sposób rzeczy, jakie wypowiadać może tylko człowiek nie już zwykłej niewiary, ale zasapany ziejący zajadłą nienawiścią do wiary, Kościoła, zastarzały sekciarz, posługujący się z najzimniejszą krwią cynizmem, sofizmatem, przekręcaniem rzeczy, najnikczemniejszą potwarzą, najohydniejszym kłamstwem — sekciarz, u którego uczucie narodowe, przyrodzone cnoty Polaka, dobre imię i przyszość narodu, są czystą błagą. Używa ich w razie potrzeby, ale je poświęcić zawsze gotów, jeżeli one krzyżują jego plany.

Oto co czytamy zaraz na pierwszej stronicy (szpalta 2ga, artykuł zaczynający się od wyrazu „Kocznica“) o Ojcu św.: „Kogo więcej interesuje postęp(?) jak zacofywanie dziejów(!) ten mężom znakomitym przebacza czyny złe, niewłaściwe a pamięta wzniosłe, szlachetne, pożyteczne. Otóż w osobie Piusa IX, co do nas, spotykamy więcej czynów drugich.“ Pierwsza obelga rzucona Ojcu chrześcijaństwa. Sekciarz polski nawet w dniu uroczystym od niej powstrzymać się nie może. Pius IX jako papież, obok wielu rzeczy wzniosłych i szlachetnych popełnił i takie, które p. Jan Dobrzań-

uczucia czei w radośnych objawach składała, i bluznąc potwarzą i ka-tem w oczy, całemu narodowi. I dziennik taki, mający śmiałość wśród ogólnej harmonii serc polskich wydać jak owa struna na cymbalach Mickiewiczowskiego Jankła chrapliwy głos, o najzupelniejszej dokonanej przez niego renegacyi polskiego uczucia świadczący, zwie się jeszcze

ski w moc nieomylnego dziennikarskiego swojego rozumu ogłasza całej katolickiej Polsce jako niewłaściwe i złe! — Co na to powie Katków i naj-przewielebniejszy Synod Petersburgski?!

Niżej o parę znowu wierszy w tym samym artykule czytamy:

„Nieraz w czasie najstroższych dla narodu naszego opałów, z ust papieża Piusa IX wychodziło przychylnie dla nas słowo Nieomylność papieżka wcale nas nie boli — a to główny zarzut, jaki mu w świecie robią! (*liberały, bezbożnicy, niedowiarkowie i franc-massoni*). Byłyby przeto powody uczcić jubileusz Piusa IX, gdyby nie to, że w ostatnich latach na sprawy polskie, (*tak godnie reprezentowane przez Gazetę Narodową*) na osobistości polskie (*np. na pana Redaktora Gazety!*) zaczął się zapatrywać przez szkła Zmartwychwstańców(!) i gdyby przez nich, pod auspicjami Głowy Kościoła, nie poczęła się w Pozańskim i w Galicyi propaganda antinarodowa(!?) potępiająca i negująca ojczyznę(!) prawa i potrzeby obywatelskie(!) z jednym co do własności wyjątkiem, kubek w kubek podobniuteneńka do komuny paryzkiej“. (*Gazeta Narodowa potępia wreszcie komunę paryżką — chwala Bogu! ale mobile lignum znanem jest od dawna — komuna przegrała — świat cały przeciw niej, a redaktor nie jest Blücherem — owszem w rejteradzie mistrzem*). — „Chociaż ten wyjątek niekoniecznie jest pewnym. Wszakże komunizm bywał przez Jezuitów praktykowany. Wśród takich okoliczności illuminować na cześć papieża, znaczyłoby illuminować na cześć zasad ultramontanizmu jezuickiego(!) na cześć zaguby naszej ojczyzny“ (!).

Przytaczamy dosłownie cały ten stek sofizmatów i brudnego kłamstwa — zanadto są one jaskrawe, abyśmy je zbijać mieli potrzebę. Być katolikiem, czcić papieża, objawiać swoją do Niego miłość i wdzięczność, to znaczy wedle *Gazety Narodowej* dążyć do zaguby naszej Ojczyzny. Redaktor *Gazety* wyciął w tem miejscu całemu narodowi najpotężniejszy policzek — cały naród illuminował, wszyscy więc zdrajcy, tylko on i wierna jemu drużyna lwowska są Polakami!? Katków gotów przyznać panu Redaktorowi najzupelniejszą słuszność. Precz z wdzięcznością, precz z uczuciami katolickimi — ani ważyć się uczcić Rzecznika Polski, Tego, z którego ust wychodziło przychylnie dla nas słowo w czasie najstroższych dla narodu naszego opałów, kiedy gwałt czezą tacy straszni, okrutni, negujący ojczyznę i potępiający wszystko, wszystko, co zachwalają sekciarze i ich ordonniczka *Gazeta Narodowa!* — Więc precz z wdzięcznością, zhańbić się raczej — poświęcić polskie uczucia — narodową cnotę! Papież nie zasługuje na wdzięczność Polaków, bo „stał się hasłem, około którego grupuje się reakcja, usiłująca przywrócić w społeczności porządek“ (*strona 2ga, artykuł pod tyt. Jubileusz papieżki*). Pan Thiers, Bismark, Moskale, wszyscy nam nieprzyjaźni i wrogowie Polski, oskarżali Polaków o anarchiczne dążności. Pan Dobrzański przyznaje im tutaj słuszność. Sam zaś daje się poznać jako gorliwy propagator i obrońca

narodowym? — i prenumerują go katolicy — księża — Polacy! Tak nie napisał nawet *Dziennik Polski* mimo osławionego już swojego cynizmu i otwartej niewiary — jak to uczynił w *Gazecie Narodowej* ów pozujący się na uczonego ze świata liberal i owa umysłowa nędzota, na gamenowskie siląca się dowcipy — kronikarz⁷⁾.

Nasi liberali nie ograniczyli się atoli na dziennikarskiej tylko propagandzie, skuteczniejszych daleko użyto środków — środków najniegodziwszych, aby i objawom katolickiego ducha w tutejszej ludności zapobiedz i samą nawet uroczystość wyszydzić i zelżyć... Wiadomo, że we Lwowie od dawna trybuny ludu, propagatorowie bezbożnego liberalizmu pracowali nad wytworzeniem w tutejszej ludności przeróżnych dla swoich celów stowarzyszeń — i te dostarczają im znaczną ilość próżniaczej gawiedzi, gotowej zawsze na rozkazy tych panów, wszystko najgorliwiej wypełnić. Takie fac-tota i tą razą użyte zostały. Rozesłano je po główniejszych ulicach miasta. W katolickich domach pod karą wybijania szyb zakazywano iluminacyi — żydom zaś najsurowiej polecono oświecać. Tam i tu jedną powtarzano groźbę. — Missya do-

nieporządku w społeczeństwie. „Tak więc wdzięczność za samoistne czyny Piusa IX zmieniła się w pewną obojętność u ludzi postępu(?) (co nienawidzą porządku i ładu w społeczeństwie, jak np. *Gazeta Narodowa*) „a wszystko to jedynie z przyczyny dążeń jego otoczenia, które umie korzystać z słabości sędziwego starca i rządzi według swych myśli za niego, przynosząc tem wielką szkodę Kościołowi“ (tamże). — *Ile słów, tyle głupoty i obelgi!*

Na tych się jednak nie kończy jeszcze. Pomijając już kronikarza, z którym nie mamy zwyczaju rozprawiać, przytoczymy jeszcze słowa feljetonisty *Gazety* z tego samego dnia i numeru jak i wyżej przez nas zacytowane ustępy. Pan Feljetonista chorujący na wielce uczonego, poważnego i z łagodnością niby piszącego męża — pomiędzy wieloma tak się o Ojcu św. wyraża:

„Piusa IX panowanie należy do najnieszczęśliwszych w dziejach Kościoła (!?) Za niego upadło państwo kościelne i udogmatyzowano nieomylność papieżką (!) która wniosła rozterkę w serca wiernych (!) poróżniła hierarchią ze społeczeństwem cywilnem i wypowiedziała wojnę w nowoczesnej cywilizacji. Papież, który rozpoczął panowanie od pobudzenia wolności na świecie, kończy je udogmatyzowaniem zasady najbezwzględniejszego despotyzmu!“

Takie to rzeczy piszą w Polsce Polacy; takie rzeczy głoszą w katolickim kraju. Przytoczyliśmy wszystko — niechaj wiedzą Ci, do których należy, czy można z czystem sunieniem prenumerować i prenumeratę wspierać taki dziennik! Oj czas już, czas zaprzestać groszem Kościoła wspierać Jego wrogów.

⁷⁾ Pisze on sobie zazwyczaj *de omni re scibili et quibusdam aliis* — tak na chybił trafił, o czem wie i nie wie. Niedawno nowe zrobił odkrycie. Wynalazł np. jakiegoś p. Seweryna Morawskiego w Poznańskim, stojącego na czele ultramontanów. Biedak słyszał, że dzwonili, ale nie wie w którym kościele. — Uczyc się, uczyc się — „minął już wiek złoty“ — a później dopiero będzie można pisać!..

pełniona Spodziewano się najlepszego obrotu rzeczy. Dzięki Bogu, zawiadli się ogromnie. Chociaż bowiem oświecenie domów nie było ogólne, ale za to szczerzy, gorliwi i mający odwagę wystąpić po katolicku, oświecili domy swoje. Z żydowskich zaledwie dwa czy trzy było iluminowanych. Ulice: Jezuicka, Frenela. Szeroka, niektóre kamienice na Wałach, około Katedry, w rynku, na Halickiem i rozrzucone tu i ówdzie po mieście domy, niektóre kościoły, rzesystem jaśniały światłem. OO. Jezuici umieścili biust Ojca św. — całe ich mieszkanie formalnie pełnęło. W Katedrze, od strony ratusza okolono pięknymi girlandami zawieszony w oknie obraz Ojca św. Bieluchna postać Bożego Rybitwy odbijała cudownie na tle różnobarwnego światła. Tłumy ludu stawały. Słyszeć można było głosy: „Nasz kochany Ojciec święty — patrz, jak pięknie wygląda“. Radość malowała się na twarzy tego poczciwego zawsze ludu. Można było wszystko z nim zrobić, i Lwów niezawodnie byłby zajaśniał krociami światła. Niestety! nic nie zrobiono, nic nie przygotowano. — Robili i krzatali się, ale tylko współwyznawcy i uczniowie tych, co to na drugi dzień mieli katolickim mieszkańcom Lwowa rzucić w twarz obelgą i kłamstwem. Mieszkańcy Lwowa dowiedli tolerancyi. — Żydzi przeważnie oświecili domy swoje — zawołały *Gazeta Narodowa z Polskim Dziennikiem*. Faryzeizm z bezczelnością pocalowały się tedy wzajemnie i w jeden najobrzydliwszy spłynęły akord!

* * *

W dniu papieskiego jubileuszu, katolickie dzienniki wyszły niektóre w okazałych winetach, a wszystkie podniosły, uczciły tę pierwszą, po św. Piotrze w dziejach świata uroczystość i Najwyższemu Sternikowi Kościoła najgłębszy hold złożyły. Azyat z Amerykaninem, Afrykanin z Europejczykiem zbiegli się z sobą w jednym objawie radości! — I Polska nasza (te przynajmniej prowincye, co swoje uczucia i wiarę jawnie wypowiadać mogą) wierna katolickiej swojej przeszłości, co wśród licznych narodów rozniosła była sławę jej imienia, i chluba ją okryła — po wysłaniu najpiękniejszego kwiatu swoich synów do stóp Chrystusowego Namiestnika, rozświetlona radością, przyoblekwszy się w osłonę z jasnych światel zniżaną, przez wierne wreszcie jej przeszłości katolickie swoje organa przemówiła, i to tym wdzięcznym, wszystkie tony jej wiary i patriotyzmu wydającym językiem, jaki brzmiał ongi w ustach najdzielniejszych bohaterów naszego narodu i dźwięczny w ustach polskiego ludu. Pierwszy i na straży godności narodowej stojący jej organ Krakowski, *Czas*, na pobudkę uderzył. W kilku z kolei numerach prawdziwie polskim odezwał się głosem. „Radość dnia jutrzejszego — czytamy w nr. 135 z 15 czerwca — z niejedną boleścią zmieszana, odbija się jeszcze świetniej z ponurego tła wypadków współczesnych i smutnego stanu w jakim znachodzi się społeczność chrześcijańska. Podobieństwo to pontyfikatu Piusa IX z pontyfikatem pierwszego zastępcy Chrystusa nie tylko zawisło na latach panowania, pamiątka dnia jutrzejszego ma jeszcze głębsze znaczenie. Ona rzuca promień łaski w epokę, z której zda-

wałoby się, że przewrotność ludzka Miłosierdzie Boskie oddaliła; ona nam przypomina, że utwierdzenie, zjednoczenie się około opoki Piotrowej, jak przed XIX wiekami tak i dziś, jak w obec zgnilizny starego świata tak i w obec wzrostu nowożytnego pogaństwa, łączącego zepsucie starej Romy z dzikością hord barbarzyńskich, że to utwierdzenie i to zjednoczenie jest jedyną podstawą odrodzenia chrześcijaństwa, że z tej epoki wypływa źródło ożywczy dla wszystkich wieków i na wszystkie choroby dziejowe ludzkości.“

Pozwolimy sobie przytoczyć jeszcze wyjątek z artykułu napisanego z powodu przyjęcia przez Ojca św. deputacyi naszej w Rzymie:

„Pielgrzymi nasi od Gniezna i Krakowa, z Wielkopolski i z odłamek dawnej Małopolski i Rusi, mający wystarczający mandat od ludu polskiego w przeszło pół miliona podpisów z dwóch prowincyj, ludzi wszelkich stanów, znaleźli przystęp do Ojca św. w dzień obchodu jubileuszowego w Rzymie. Nie polityczne cele wiodły tych ludzi na dzień ten uroczysty do Rzymu, silniejsze uczucie religijne było jedyną i wystarczającą podniecią do tej pielgrzymki. Idąc tam jako katolicy z wyrazem czci dla Głowy chrześcijaństwa, wolni od wszelkich względów politycznych, mogących tylko ich powstrzymywać, wyrażali uczucia, które najsilniej i najtrwalej zespalają rozdartą naród. Narody bowiem chrześcijańskie mają życie religijne, którego upadek pociąga koniecznie za sobą upadek życia politycznego, a którego silniejsze rozbudzenie w sobie jest najpewniejszą poręką, jeżeli nie wskrzeszenia do życia politycznego, to przetrwania zwyczajko epoki śmierci politycznej.“

„Niech nam przeto będzie wolno czerpać otuchę dla moralnego dobra narodu, z tej uroczystości, w której Polacy jedni z pierwszych uczestniczyli. W dniu tym składali Piusowi IX hołdy, dary i życzenia przedstawiciele mocarzy świata, monarchów chrześcijańskich, nie wyjąwszy nawet tego, który dokonał zaboru spuścizny Piotrowej, i korzyli się przed tym, który już nie jest panującym i uważa się za będącego w niewoli. Ze wszystkich stron świata spieszyli wysłańcy ludów katolickich, mających jeszcze byt i potęgę. Polacy, którym świat polityczny zadekretował od dawna śmierć, tylko przed jednym Naczelnikiem Kościoła katolickiego stanąć mogli razem — jako jeden naród, bo jakkolwiek bez jedności politycznej, jedność religijna ich wiąże i spaja. To też Pius IX przyjmuje wysłańców Polski i wita gorącym współczuciem i przemawia nie o swoich krzywdach, ale o przesładowaniach Kościoła w Polsce, o pasterzach na wygnaniu, o Kościele Polskim w niewoli. Daje otuchę, do wytrwania zachęca, modlić się każe i błogosławi.“

„Przyjęcie to w Watykanie synów Polski, przypomina wieszczenie poety narodowego o garstce Polaków, którzy na ostrzach karabeli utrzymują sklepienie podkopanej bazyliki św. Piotra. Sen Ligęzy był jakby mglistym przecuciem czasów, w których poczucie narodowe tak zachwiane, coraz bardziej zespala się z uczuciem religijnem, jako najsilniejszą swoją tarczą, a Kościół katolicki, bazylika św. Piotra po-

zrnoie wstrząśnięta i z wywróconą materyalną podstawą, wymaga sklepienia z ramion i rąk wiernych, duchowo zespalających się z Ojcem chrześcijaństwa.“

Tak pisze Dziennik, co jest wyrazem życia narodowego! Cześć mu! — Cześć znakomitym jego Redaktorom!

Po *Czasie* pierwsze miejsce wypada nam poświęcić *Unii*. Numer jej z 17 czerwca wyszedł w ozdobnem wydaniu w pasowej obwódce z drzeworytem wyobrażającym apokaliptycznego baranka leżącego na księdze zamkniętej siedmioma pieczęciami. Nad Nim tyra papieska, godło Bożego na ziemi klucznika, co sam tylko ma pełność władzy do otwierania siedmioraką pieczęcią obwarowanego Bożego Kościoła. Artykuł wstępny napisał ks. Krechowiecki. Wywołał on krzyku nie mało w Gazetach Lwowskich. *Kraj* nie posiadał się z gniewu. *Gazeta Narodowa* dostała ataków epileptycznych Inaczej być nie mogło. *Rabies massonica* na artykuł z takim jasnem skreśleniem zasad katolickich, gorącym uczucia, oryginalnością myśli, a czystością języka napisany, wybuchnąć gniewem musiała. Największa chwala jaka kiedykolwiek katolickiego pisarza spotkać może, to ta, kiedy wrogowie Kościoła rzucają się na niego zjadle — ks. Krechowickiemu winiszujemy jej więc z całego serca. A z drugiej strony wiemy dobrze, że znaczna liczba osób w Krakowie, Poznaniu i u nas, cały ten artykuł czytała z prawdziwą rozkoszą. Głęboką i świętą wypowiedział ks. Krechowiecki prawdę, dla czego to niewiara rzuca się na Piusa IX. Boć on „doskonaly uczeń i naśladowca Chrystusowej miłości — wierny uczestnik Chrystusowego krzyża i wyniszczenia“ „przeszedł, dobrze czyniąc“ — dla tego bezbożnicy walczą przeciw Niemu.

Od *Unii* przejść nam należy do dzielnego szermierza, stojącego od dawna a wiernie na szlakach katolickiej nauki w obronie wiary, praw Kościoła, w obronie polskiego społeczeństwa dezorganizowanego przez komunistów poznańskich, społeczeństwa, którego cała przyszłość tylko na gruncie katolickim w obec obcego napływu ostać się zdoła. Mamy tu na myśli *Tygodnik Katolicki*, co spać nie daje, spokojnie myśleć nie pozwala, wzrok rozognia wielkiemu wszystkim polskich dezorganizatorów Buławieście, śp. redaktorowi bylego Drezdeńskiego pisma. *Tygodnik Kat.* wyszedł w obwódce fioletowej. U samej góry krzyż okolony cierniem i serce. Pod tytułem pisma, napis: *Vidit Annos Petri*, Artykuł wstępny, Encyklika Ojca św., List ks. Arcybiskupa Prymasa — wszystko to odnosi się do uroczystości jubileuszowej Następnie, dwie bardzo ciekawe a piękne korespondencye z Rzymu i różnej treści artykuły. Pismo to, redagowane z prawdziwym talentem, powinno być znajdować się w ręku wszystkich katolików.

Chata, pismo ludowe Wspominaliśmy już o niem parę razy. Ze wszystkich, jakie kiedykolwiek tutaj wychodziły i wychodzą, najlepsze — redagowane przez ks. Ottona Holyńskiego. Na d. 17 czerwca wyszło ozdobione kilkoma drzeworytami. Na czele ładny wiersz, przez S. B. „Głos ludu polskiego do Piusa IX.“

Pomiędzy innymi autor wiersza zapewniając Ojca św. o niezachwianem do Niego przywiązaniu polskiego ludu, tak się odzywa:

„Czyżby ten naród zapomniał o Tobie,
Gdyś w pośród Twojego grodu
Jak matka czuła na dziecięcia grobie
Płakał nad losem narodu“.

Pismo to, ma już do 700 prenumeratorów — mieć ich będzie niezawodnie więcej. A w takim razie odda społeczeństwu naszemu ogromne usługi. Pisarze radykalni czują to dobrze i dla tego gwałtownie nań uderzyli. Od katolików zasługuje na najgorętsze poparcie.

* * *

Pan Stanisław Koźmian w ostatnim zeszycie *Polskiego Przeglądu* (z 1 czerwca) wypalił nam z pod serca gorącą apostrofę za nieroztropną niby naszą gorliwość. Pośpieszamy zanotować ten objaw, świadczący o kaznodziejskim nastroju ducha u szan kronikarza *Przeglądu*. *Dieu merci!* — Bielany widocznie wpływ wywarły niemały. P. Stan. Koźmian niezawodnie zaniecha odtąd teatralnych recenzyj, które z taką wena, kolorytem i wedle twierdzeń krakowskiego korespondenta w *Wielkopolskim Tygodniku* z właściwą jemu tylko znajomością rzeczy uprawiał, i rzuci się niezawodnie na pole etyki chrześcijańskiej, kiedy już zaczął określać stopnie cnoty i mówić o niej tonem zdradzającym rygoryzm Anachorety i to przypominającego nam owe czasy, kiedy myśl ludzka niewyemancypowała się jeszcze była z objęć Kościola. *Dieu merci!* Nowa faza otwiera się przed nami w pisarskim jego zawodzie.

Przystąpmy atoli do rzeczy. — P. Stanisław Koźmian twierdzi, że nieroztropna gorliwość *Przeglądu Lwowskiego* dała pochop (jak się z tonu domysłać tego należy): 1. *Krajowi* do rozprawiania o ultramontanach, tj. nas, a co boleśnieszka, to i o moderantyzmie niektórych panów krakowskich; 2. śp. dr. Gilewskiemu do napisania osławionego adresu, a kto wie, czy i pp. akademików krakowskiej Wszechnicy nie ona pchnęła do robienia burd po ulicach miasta.

Na takie *dictum*, niech nam więc wolno będzie zapytać się p. Stanisława Koźmiana, co rozumie przez gorliwość roztropną — czy to nie tę przypadkiem co zalecała podnosić takie obrzydliwe plagiaty, jak np. Epidemia, prawie koszalki ze słownika największych liberalów wyjęte, jak np. o wyemancypowaniu się myśli z objęć Kościola — zalecać i zachwalać zasady z 1789 r., zachwalane również przez wszystkich najczarwiejszych i najzagorzalszych rewolucjonistów? — bo *Przegląd Lwowski* najuroczyściej przeciwko takim rzeczom występował i występować chce. — czyż więc dla tego jego gorliwość jest nieroztropną? Ależ w takim razie, to owa roztropna gorliwość nie powinna się oburzać i potępiać czyny, jakie w skutek żelaznej logiki nie są czem innym w praktyce, tylko płodem i okwitem podnoszonych, zachwalanych i wyznawanych przez nią w teorii zasad i rzeczy. *Prze-*

gład Polski niechaj nas więc nie straszy *Krajem*. *Kraj* chwalił, podnosił, zachęcał i pobudzał do czynów, ale takich, jakie wytwarzać się zwykły z pielęgnowania i uprawiania zasad, sztuk, teorii, w jakich się po uszy zakochał *Przegląd Polski!*

Święte słowa wyrzekł, kilka dni temu zaledwie, do deputacyi francuzkiej Ojciec święty: „Największą dla Kościoła plagą są katolicy liberalni“. Niema środka *aut — aut*.

* * *

Niemasz nic trudniejszego nad pisanie krytycznych rozpraw o rodzaju i wartości pism ludowych. Sąd w tych rzeczach wydawać może ten tylko, kto zna psychologiczną stronę naszego ludu i wysoko nadzwyczaj jest wykształconym. Można być statystykiem najznakomitszym — ale krytykiem pisma ludowego najnędniejszym w świecie, Towarzystwo Pomocy Naukowej, jakie przed paru laty zawiązało się w Paryżu, w odezwie swojej, właśnie silny kładzie na to nacisk, i ma wielką rację. Tymczasem nasi galicyjscy brukowi ludolubcy, najmniej w tych rzeczach kompetentni, najwięcej o tem prawić lubią. Niedawno w jednym z tutejszych pisełek, chorujących na literacko-naukową słabość, zamieszczono listy przez Nie-Juniusa pisane, otóż ten pan nie-junius w całym znaczeniu tego wyrazu — palnął sobie od ucha do ucha rozprawkę o pismach ludowych. *Chata*, o której wyżej mówiliśmy, wyszła z tego wszystkiego ogromnie pokiereszowana. Piccolo, bo takim jest ów nie-junius, ogłasza ją za najszkodliwsze w całej Polsce pismo. Rozumie się... Redaktorem ksiądz, a to wystarcza aby i jego pismo potępić, i mówiąc o niem, kłamstwem się nawet posłużyć. Ludolubcy, jak to wszystkim wiadomo, ogromnie księży nie cierpią a Piccolino pasowany niedawno przez Bulawistę na najznakomitszego i najuczuczeńszego męża, do takiej właśnie kategorii należy.

* * *

Najznakomitszy i najuczuczeńszy p. Kraszewski, wszystkim zostającym pod swoją komendą dziennikom, milczeniem kazał nas zaśmiercić. Na rolę Ryczywoła skazani, przyjęliśmy ją z rezygnacją i spokojem. Aż tu pan Kraszewski jak Part uciekający, pali do nas w przedostatnim umerze śp. swojego *Tygodnia*. Najznakomitszy p. Kraszewski pierwszy słowa nie dotrzymał... *Ab uno disce omnes*. Teraz przeniósł się już gdzie indziej i czuć go też zaraz. Pierwszy wystrzał obyczajem komunistów wymierzył w osobę katolickiego kapłana, przyjaciela Polski, Najwyższego Sternika Kościoła, w Osobę Piusa IX. Pan Kraszewski chce osłabić wrażenie jakie na cały naród wywarła wiadomość o przyjęciu deputacyi naszej przez Ojca św., — chce wyziębic w Polakach miłość i przywiązanie do Papieża. Miły Boże! czasy się zmieniają, a i pan Kraszewski od chwili jak został Bulawistą dezorganizatorów i ślubną przyjaźnią z Brzechomowcą się zespolił, zmienia się z każdym dniem do niepoznania. Bil on

zawsze, to prawda, w Kościół, ale do osoby Piusa IX ze czcią się oświadczał. W Rachunkach jeszcze swoich, z roku 1867 podniósł, zachwalał, piękny bardzo wiersz Cypryana Norwida, w którym poeta wylał gorące uczucia wdzięczności i czci najwyższej dla Głowy Kościoła. Zamieszczamy go. — Niechaj on będzie świadectwem głosu z prawdziwie polskiej wydobywającego się duszy, z jaką pan Kraszewski rozbrat wziął zupełny. — Czem Pius IX dla Polski, niechaj mówi za nas poeta:

„Któż jest ten Polak! kto? co zrodzon na obcej ziemi
I z obcą w żyłach krwią — dłońmi ku niebu drżącemi
Za Polskę modły śle... i imię jej wymawia?
— Kto ten Monarcha? Kto? co w obłożonej stolicy,
Gdy mury miasta drżą... sam i pogodnolicy...
Na polską pomni krew i o nią się zastawia?

To ty o starcze! ty! jeden bez win i trwóg,
To ty, na globie sam, jako w niebiosach Bóg,
To ty trzech koron pan... któremu krew i wiek
I szturm i bunt... i grot, jakkolwiek piersi ucela:
Nie znaczą nic — są jako tępy ćwiek

W dłoni Zmartwychwstałego Zbawiciela...

Patrzcież nareszcie już! o! patryoci z krwi,
Ile... szeroka jest... ta... Rzeczpospolita tam...
I gdzie heroizm? gdzie? ów całopalny, lwi...

Piekielnych nieulekniomy bram!

Oh! Europo... każ... niech zamilknie potwarca,
Bo bezinteresowność przerosła ciebie...

Słowa obłożonego starca...

Pałą się w niebie.“

* * *

Śmierć prof. Gilewskiego nie przestała być niewyczerpanem źródłem dla dzienników nieprzyjaznych katolicyzmowi, zarówno w Galicyi jak w Wiedniu. Żaden dziennik warszawski nie poruszył sprawy adresu do Döllingera, bo żaden z nich nie napisze nigdy jednego słowa, mogącego prowadzić do rozdwojenia w kościele katolickim. Cenzura nie dozwala im w prawdzie mówić za kościołem, ale nie zniewala jeszcze mówić przeciw kościołowi i dopomagać schyzmie. Inaczej rzecz się ma z galicyjskimi dziennikami. Dla nich smutny wypadek zgonu prof. Gilewskiego jest pożądaną sposobnością dla miotania kłamstw wszelkiego rodzaju i najpodlejszych obelg, jakie tylko w państwie „bezwyznaniowem“ uchodzić mogą. Pod protestanckim rządem w Berlinie sądzono skazać *Kladderadsch'a* za obrazę Papieża; w Austrii można być

skazanym za obrazę nawet policyanta, i często się to wydarza; sam tylko kapłan katolicki, czy on proboszczem, biskupem, a choćby nawet papieżem, wyjęty jest z pod opieki prawa, i dla tego pastwią się nad nim podli, co szanują tego tylko, kto ma władzę karania i siłę po temu.

(Czas.)

* * *

La petite Commune litteraire Tygodnik Wielkopolski (Nr. 26) zapowiada rozszerzyć granice swojego działania. — Dążności materialistyczne porzuci. — Pana Albina Khuna odesła do gorzelni bię jak dawniej chłopów Młodzieńcowi Merzbachowi zakaże odlewać bogi z zimnego kamienia i szkicować najwydatniejsze mahometańskiej delicyi związane kontury. I... i... zostanie w wysokim stopniu spirytystą... obdzielając komunią duchową jak najszersze koło czytelników. Co za głębina myśli. — *Che bellezza!* Tygodnik Wielkopolski komunią duchową! — Moznaby się uśmieć z głupstwa, gdyby nie było zarazem bluźnierstwem!

X. F. P.

Ostatni numer Tygodnika katolickiego z dnia 24 czerwca zawiera: Wiadomość o deputacyi naszej i audyencyi u Ojca św. Uroczysty Obchód Jubileuszu papieżkiego w Górcie Duchownej — Obchód Jubileuszu — Poznań — Mielżyn — Powidz — Szamotuly — Parafia Oporowska — Goluchowo — Potulice — Z Jarocina — Z dekanatu Ołobockiego — Korespondencye: Rzym 1, 2 — Wizyty Pastorskie — Nowe wystąpienie Dzien. Poznańskiego w sprawie petycyi do parlamentu Cesarstwa — Wiadomości potoczne.

Tygodnik katolicki kosztuje w Galicyi kwartalnie 3 zł w. a.

ŚWIĘTOPIETRZE PIOTROWI ŻYJĄCEMU W PIUSIE IX, BOŻEMU RYBITWIE

OD JEDNOŚCI Z KTÓRYM POLSKI PRZYSZŁOŚĆ CAŁA

z Tarnowa Alumn seminarium Sobczyński zlr. 1 ct. 20

z Krakowa od C. H. M. przysłano powtórnie franków 50.



Wydawca i odpowiedzialny redaktor: X. Edward Podolski.

Rozpoczęta w zeszycie dziesiątym historyczną rozprawę p. t.

CZY JEZUICI ZGUBILI POLSKĘ?

będziemy bez przerwy zamieszczać w następujących numerach.

I. Opinia publiczna i Jezuici. — Kto są Jezuici. — Czy instytut uległ jakiej zmianie. — Summa czyli treść instytutu. — Rząd Jezuitów jest-li despetyczny. — Ślepe posłuszeństwo i kosmopolityzm zakonu. — Cele i widoki. — Zarzuty wzajemnego szpiegowania, zwolniającej nauki moralnej, niedozwolonego handlu królobójstwa.

II. Dla czego Jezuici zajmują się edukacją młodzieży. — Podwójne zadanie edukacji jezuickiej. — Jak zakon kształcił profesorów i nauczycieli. — Antynarodowość systemu jezuickiego. — Dzisiejszy system preparand nauczycielskich. — Skład szkół jezuickich. — Profesorowie, i przedmioty w nich wykładane. — Dla czego uczono tyle łaciny. — Klasycy w szkołach dzisiejszych i jezuickich. — Zarzuty względem zaniedbania historyi literatury i umiejętności ścisłych. — Kilka uwag nad nowym systemem naukowym (pruskim). — Scholastycyzm i Jezuici. — Prace naukowe Jezuitów. — Strona moralna edukacji jezuickiej. — Emulacya, koncertacye i kongregacye. — Popisy, dyalogi, sądy, prawne dysputy. — Zarzuty bigoteryi, szpiegowania i kar cielesnych.

III. Przyczyny upadku Polski. — Pierwiastki demoralizujące w narodzie jeszcze przed wstąpieniem Jezuitów na ziemię polską. — Czy Jezuici mogli przeszkodzić rozwojowi tych pierwiastków. — Władysław IV i Jezuici. — Demoralizacya narodu przez Jezuitów — Zarzuty księcia Adama Czartoryskiego i odpowiedź na nie — Panegiryki jezuickie pod względem moralnym — Zasługi Jezuitów na polu moralności religijnej.

IV. Uwagi nad okresem piątym literatury polskiej czyli nad epoką jezuicką. — Kłótnia Jezuitów z Akademią krakowską czy może stanowić epokę — Odkąd datuje się upadek Akademii krak. i przyczyny jej upadku — Akademia Wileńska i Stefan Batory — Spór z akademią krakowską i Jezuitami o Szkołę poznańską. — Historia kłótni akademii krak. z Jezuitami — Otwarcie i zamknięcie akademii lwowskiej — Przyczyny upadku literatury w XVII i XVIII wieku — Anachronizmy w sądach i krytyce literatów naszych — Jezuici i oświata na Litwie — Florydacyzm i jego przyczyny — Makaronizmy — Literatura XVII i XVIII wieku nie ma jeszcze dotąd swojej historyi.

V. Wpływy Jezuitów na politykę królów i państw. — Jezuici spowiednicy panujących. — Czy Jezuici mieli jaki udział w polityce Rzeczypospolitej. — Possewin i wojny moskiewskie króla Batorego. — Jezuici i Zygmunt III. — Uwagi nad Zygmuntem III. — Jezuici w sprawie Dymitrów Samozwańców. — Polityka króla Sobieskiego. — O. Wota i król Jan. — Zasługi polityczne Jezuitów w Polsce.

VI. Nietolerancya i fanatyzm Jezuitów. — Czy w Polsce były kiedy jakie prześladowania religijne. — Zygmunt III i różnowiercy. — Władysław IV i nietolerancya narodowa. — Jan Kazimierz i wypędzenie Aryanów. — Fanatyzm narodowy. — Zkąd pobożność Polaków XVII wieku. — Spalenie ateusza. — Sprawa toruńska. — Uchwały sejmów z lat 1717, 1733, 1736 — 1766. — Kozackie wojny czy były owocem nietolerancyi i fanatyzmu jezuickiego.

Przegląd Lwowski

wychodzi dnia 1. i 15. każdego miesiąca
objętości $3\frac{1}{2}$ do 4 arkuszy druku.

Przedpłata wynosi: w Galicyi ćwierćrocznie zlr. 2; półrocznie zlr. 4; rocznie zlr. 8.

W Prusach, Rzeszy Niemieckiej i Wielkopolsce: ćwierćrocznie talarów $1\frac{1}{2}$; półrocznie tal. 3; rocznie tal. 6.

We Francyi, Belgii, Włoszech i Szwajcaryi: ćwierćrocznie franków 7; półrocznie fr. 14; rocznie fr. 28.

Przyjmują także prenumeratę we Lwowie: Ajencya „Czasu“ u p. Piątkowskiego, plac katedralny; księgarnie pp. Sayfartha i Czajkowskiego, oraz pp. Schmidta i Gubrynowicza; — w Krakowie księgarnie p. Jaworskiego i p. Krzyżanowskiego; — w Poznaniu w księgarni p. Tytusa Daszkiewicza; — w Prusach w Ostrowie u p. Priebatch'a; — w Paryżu rue de la Trinité 3. chez Mons. l'Abbé Léon Postawka.

Uwaga: Dla uniknięcia opóźnień w przesylce prosimy prenumeratę najlepiej nadysłać wprost do Administracyi Przeglądu Lwowskiego w kamienicy kapitulnej l: 24.

Nakładem Wydawnictwa Przeglądu Lwowskiego
wysła

PAMIĄTKA

25letniej rocznicy wstąpienia na Stolicę Apostolską

PIUSA ŚW. PIUSA IX.

Dostać ją można w Administracyi Przeglądu:

Cena egzemplarza na papierze holenderskim	2 zł. — ct.
na papierze listowym	1 „ 50 „
na papierze zwykłym	1 „ — „

